MYŚLIWIEC

KWARTALNIK PRZYRODNICZO - ŁOWIECKI

OD 1982

LATO 2021(28)
KRAKÓW

SEZON OGÓRKOWY

Roman Barbasz

Lato, sezon ogórkowy, którego nazwa kojarzy się z pauzą w ciekawych i spektakularnych wydarzeniach, a dla mnie to raczej przejaw obfitości tego warzywa na straganach oferujących płody rolne na placach targowych. Myśliwi w tym okresie nie mogą narzekać na nudę i bezczynność. Pełne emocji i niezapomnianych wrażeń polowania na kozły ustępują niestety z konieczności obowiązkom. Ochrona upraw przed szkodami w pojęciu wielu myśliwych to nie jest polowanie kojarzone z czasem wolnym i relaksem, lecz ciężki obowiązek nakładany przez zarządy kół ogarnięte panicznym strachem przed upadłością finansowa. Kolejnym zobowiązaniem nałożonym w formie nakazu jest odstrzał sanitarny dzików w ramach walki z ASF. Cel szczytny i niewątpliwie potrzebny z punktu widzenia gospodarki rolnej i przepisów o zwalczaniu chorób zakaźnych zwierząt, ale jak każdy obowiązek postrzegany jest jako uciążliwość. Stan prawny obowiązujący na dzień dzisiejszy w tej materii niestety nie pozwala nam uniknąć tych nielubianych przez większość myśliwych obowiązków. Stwarza to wszysko wrażenie, że zbliżamy się nieuchronnie do upadku polskiego modelu łowiectwa z jego pięknymi osiągnięciami. Dlatego, Drogi Czytelniku dla zmiany tego szarego i smutnego obrazu dnia powszedniego dzisiejszego myśliwego, dodatkowo spotęgowanego pandemią, oddajemy Ci do rąk kolejny numer naszego kwartalnnika. Spektrum tematów zawartych w tym wydaniu pozwoli inaczej spojrzeć na problematykę związaną ze współczesnym łowiectwem i ochroną przyrody. Poruszamy też niektóre wydarzenia z historii łowiectwa przypominające o tradycjach i roli naszych poprzedników w tworzeniu tych wartości, którymi się teraz chlubimy, a dla młodych następców winny stanowić wzór godny naśladowania. Róznorodność przekazywanych informacji powinna zainspirować naszych czytelników do szerszego spojrzenia na kierunki rozwoju łowiectwa i ochrony przyrody oraz kształtowanie wizerunku myśliwego w obecnych czasach. Jest to szczególnie ważne w okresie powszechnego hejtu i bezpardonowych ataków na nas tak zwanych ekologów. Działając w ramach obowiązującego w Polsce prawa i wykonując nałożone przez te przepisy obowiązki, powinniśmy domagać się zarówno od naszego związku jak i innych organów administracji państwowej ochrony naszych działań przed nieuzasadnionymi atakami przeciwników łowiectwa na nasze szeroko pojęte dobra osobiste. Nieustannie zachęcamy sympatyków i cztelników „Myśliwca” do kontaktów z redakcją zarówno w zakresie publikowanych materiałów, jak i składania własnych propozycji artykułów i ciekawych zdjęć.

Roman Barbasz
Wieloletni członek
komisji ds. promocji
łowiectwa i kontaktów
z mediami.
Prezes Tow. Myśliwskiego
im. Św. Huberta w Krakowie.
Redaktor Naczelny
„Myśliwca”.

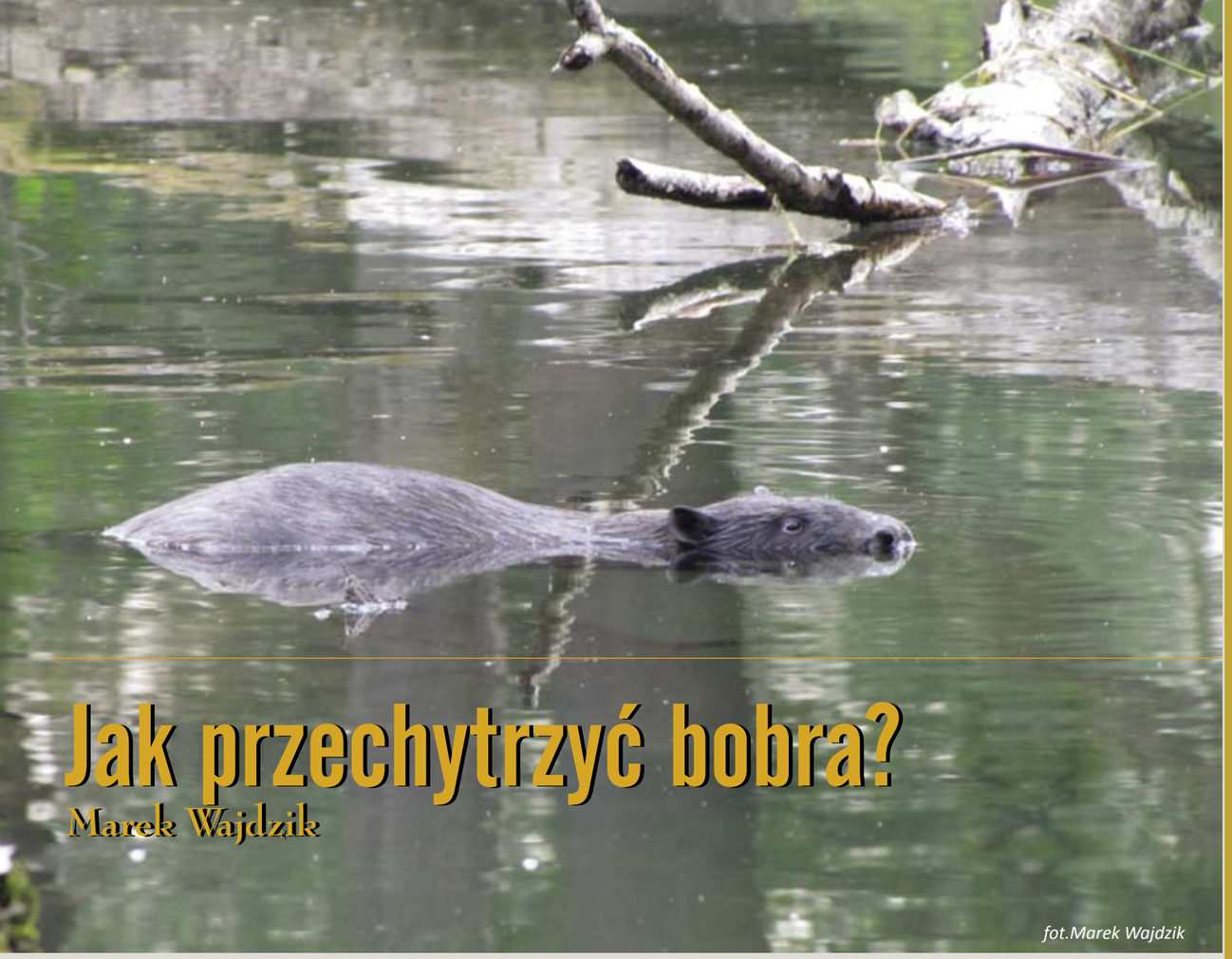

Jak przechytrzyć bobra?

Marek Wajdzik

fot.Marek Wajdzik

Bóbr – symbol ochrony przyrody - potrafi być nierzadko i kłopotliwym sąsiadem o czym mogła się już przekonać spora rzesza rolników, sadowników, właścicieli stawów czy też drogowców. W związku z powyższym wypracowano do tej pory szereg metod zmierzających do minimalizowania oddziaływania tego gryzonia na środowisko. Najogólniej metody te możemy podzielić na tzw. biologiczne, które wpływają na populację (np. odłów, odstrzał) lub środowisko (np. uszczuplanie bazy żerowej) oraz techniczne (mechaniczne lub chemiczne), które chronią „obiekty" przed niszczycielska działalnością bobra.

W Polsce do tej pory najczęściej stosowanym rozwiązaniem preferowanym przez służby ochrony przyrody było wypłacanie odszkodowań za szkody wyrządzone przez bobry. Taki sposób postępowania jest obarczony licznymi wadami i dlatego jest bardzo rzadko stosowany w innych krajach, gdzie występują bobry. Jego podstawową wadą jest fakt, że stanowi poważne obciążenie dla budżetu ochrony przyrody i jednocześnie nie powoduje rozwiązania konfliktu, a jedynie jest w pewnym stopniu zadośćuczynieniem za szkody. Tak więc szkody będą się powtarzać, a rozgoryczeni poszkodowani nierzadko dopuszczają się kłusownictwa na tym gatunku bądź nielegalnie niszczą jego budowle (tamy, żeremia, nory) aby zmusić go do opuszczenia stanowiska. Dodatkowo sytuacje komplikuje fakt, że w obecnym systemie prawnym nie przewidziano gratyfikacji utraconych korzyści (np. w przypadku ścięcia przez bobry drzew owocowych w sadzie przysługuje odszkodowanie wyłącznie za ścięte drzewo, a nie uwzględnia się spodziewanych przychodów z tytułu utraconego plonu), co u wielu poszkodowanych powoduje poczucie niesprawiedliwości i rodzi dodatkowe napięcia.

Odłowy i przesiedlenia

W przypadku odłowów, najczęściej wyłapuje się wszystkie bobry z danego stanowiska, co likwiduje konflikt. Jednak, w przypadku wysokiego zagęszczenia bobrów na danym terenie, zwolnione stanowisko jest szybko kolonizowane przez migrujące młode bobry i najpóźniej w ciągu kilku kolejnych lat konflikt pojawia się na nowo. Przesiedleń bobrów w przeszłości najczęściej dokonywano w odludne tereny, tam gdzie ich egzystencja nie rodziłaby sytuacji konfliktowych. W ostatnich latach właściwie nie prowadzi się już odłowów i przesiedleń bobrów, przede wszystkim z tego powodu, że brakuje już miejsc, gdzie zwierzęta ta można przetransportować i uwolnić. Bobry zasiedlają właściwe większość obszaru Polski, gdzie warunki środowiskowe umożliwiają im egzystencję, a nawet obserwujemy je w terenach zurbanizowanych.

Ograniczanie liczebności

Zmniejszenie liczebności bobrów poprzez usuwanie osobników z populacji można dokonywać dwoma metodami: odstrzałem i odłowami. Oba te sposoby są stosowane w krajach gdzie bobry są pozyskiwane, przy czym w Ameryce Północnej przeważają odłowy, a w Europie odstrzały. W Ameryce Północnej (w Kanadzie i na Alasce) przeważnie stosowane są metody traperskie polegające na odławianiu zwierząt w pułapki zabijające lub żywołowne. Metody traperskie uchodzą za skuteczne i nie powodują strat w postaci nie podniesionych zwierząt.

Odłowy zwierząt w większości krajów regulowane są szczegółowymi przepisami dopuszczającymi określone rodzaje pułapek lub potrzasków, a także w odniesieniu do rozmiaru i okresu pozyskiwania zwierząt. Okres odłowów jest ściśle określony i limitowany do kilku tygodni lub nawet kilkunastu dni (przeważnie w okresie zimowym). Dopuszczone są odłowy wszystkich zwierząt z poszczególnych stanowisk lub pojedynczych zwierząt z każdego stanowiska. Wymagają one zaangażowania doświadczonych ludzi (często zawodowych traperów spośród Indian lub Eskimosów), którzy wiedzą jak i gdzie zakładać pułapki i mają możliwość systematycznej ich kontroli co najmniej raz w ciągu doby. Pomimo, że pułapki wydają się bardziej efektywne i racjonalne, to w Polsce chwytanie zwierząt uchodzi za metody kłusownicze, a ponadto nie ma osób zainteresowanych traperstwem zawodowym lub rekreacyjnym ze względu na brak takich tradycji. Myśliwi traperstwem się nie zajmują, a zaangażowanie i szkolenie innych grup w tym zakresie wydaje się nie tylko kłopotliwe, ale również nieuzasadnione ekonomicznie.

Drugim sposobem zmniejszenia liczebności bobrów są odstrzały stosowane zarówno w Ameryce Północnej jak i w Europie, które to zdecydowanie przeważając w krajach skandynawskich. Dokonanie odstrzału bobrów nie jest wbrew pozorom łatwe – o czym zapewne przekonało się już wielu myśliwych realizujących choćby odstrzał redukcyjny w ramach porozumienia zawartego w 2016 roku między Dyrektorem GDOŚ, a Przewodniczącym Zarządu Głównego PZŁ. Utrudnienia wynikają z faktu, iż gatunek ten wykazuje głównie aktywność nocną, opuszcza wodę tylko w określonych sytuacjach żerowania lub przemieszczania i jest zwierzęciem niezwykle czujnym. Należy nadmienić, że w Polsce nie ma tradycji polowania na bobry i myśliwi muszą nabyć takowych doświadczeń aby umieć się zaczaić we właściwym miejscu i w określonej porze dnia lub nocy, a następnie umieć wypatrzeć i rozpoznać zwierzę oraz celnie strzelić w kiepskich warunkach widoczności. Do bobra należy strzelać gdy jest na brzegu lub w płytkiej wodzie, gdyż martwy tonie. Z kolei ranny (nawet śmiertelnie) nurkuje i jest bardzo trudny lub niemożliwy do odnalezienia. Strzał do bobra musi być zatem precyzyjny i unieruchamiający, co w trudnych warun-

Brzeg stawu wyłożony kamieniami uniemożliwiającymi bobrom drążenie nor

kach lub na dalszą odległość nie jest łatwe.

W krajach skandynawskich do odstrzału bobrów wykorzystywana jest głównie broń kulowa większych kalibrów (7,62), używanych do polowań na łosie, a w Norwegii na bobry wolno polować wyłącznie z broni kulowej i to stosując pociski, które na 100 m posiadają energię nie mniejszą niż 980J (najczęściej 222 Rem). Do bobrów można również strzelać z broni o lufach gładkich grubym śrutem (4 mm i więcej). Polowania z taką bronią są wykonywane w Szwecji i w Rosji, warto jednak zauważyć, że w byłym ZSRR około 50% bobrów strzelanych śrutem na wodzie przepadało jako niepodniesione postrzałki, a na jednego upolowanego bobra przypadało średnio 1,8 oddanych strzałów (broń kulowa 1,23 oddanych strzałów i podniesiono wszystkie bobry).

Rozbieranie tam

Regionalne dyrekcje ochrony środowiska mogą wydać zezwolenia na rozebranie tam bobrów, które powodują zalewanie terenów. Skuteczność tej metody jest zwykle niska, gdyż bobry szybko odbudowują tamę, nawet w przeciągu jednej nocy lub kilku dni i to najczęściej w tym samym miejscu. Poza tym rozbieranie tam jest kosztowne i niezwykle pracochłonne.

Zapobieganie szkodom powodowanym przez bobry

Podkreślić należy, że bobry są doskonałymi inżynierami i planistami. Zwierzęta te bardzo uważnie i „fachowo" wybierają miejsce przegrodzenia cieku aby stosunkowo niewielkim nakładem sił i materiałów osiągnąć możliwie maksymalny efekt w postaci zwolnienia nurtu oraz podwyższenia poziomu wody. Ponieważ potrzeba zapewnienia bezpieczeństwa sobie i członkom rodziny jest u bobrów niezwykle silna, wszelkie uszkodzenia, także poczynione celowo przez człowieka są bardzo szybko przez nie naprawiane. Dlatego działania w stanowiskach bobrowych muszą być dobrze przemyślane i mieć możliwie długotrwałe efekty. Bobry są bardzo inteligentne i szybko znajdą słabe punkty zastosowanego rozwiązania. Ponadto, zabezpieczenia są najczęściej budowane w ekstremalnych warunkach terenowych najczęściej na styku wody i lądu, w miejscach bagnistych, narażonych na wahania wody co znacznie utrudnia prowadzenie takich prac.

Odpowiednio stosowane zabiegi i urządzenia często pozwalają na całkowite i trwałe unikanie znaczących szkód wynikających z działalności bobrów. W wielu przypadkach okazuje się, że są one znacznie bardziej skuteczne i tańsze niż bezpośrednia walka z bobrami i próby niszczenia ich budowli. Wartościowe jest również to, że bobry pozostają na miejscu, nadal wywierając często korzystny wpływ na środowisko. W dalszym ciągu zajmują miejsce potencjalnego osiedlenia się innych rodzin bobrów i w pewnym stopniu mamy je pod kontrolą. Dlatego niezwykle istotne jest, żeby przewidzieć ile wody i pożywienia dla bobrów pozostanie po zastosowaniu określonego rozwiązania. Jeśli bobry mają pozostać pod kontrolą na danym terenie nie można całkowicie spuścić wody ze stawu lub wyciąć wszystkich drzew. Środowisko zostanie zdegradowane, a zdesperowane bobry i tak znajdą sposób na to, żeby tam pozostać. Konflikt nie zostanie zażegnany, a wręcz może ulec zwiększeniu.

Na niektórych stanowiskach liczebność bobrów można próbować również zmniejszyć pogarszając warunki ich bytowania i pozbawiając bobry korzystnych atrybutów w środowisku. Zabiegi takie polegają miedzy innymi na wykładaniu nabrzeży siatkami metalowymi lub płytami betonowymi

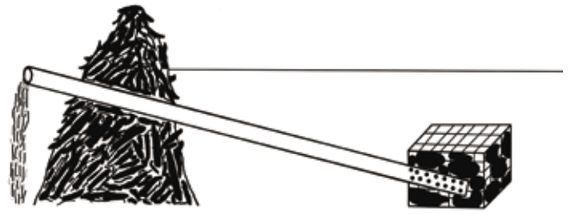

Zamontowanie rury przelewowej w tamie bobrzej gwarantuje utrzymanie optymalnego poziomu wody

Kosz to najważniejsza część rury przelewowej

Wypuszczanie odłowionego bobra

co uniemożliwia drążenie nor i osiedlanie się zwierząt. Z kolei poprzez wycięcie na brzegach drzew pogarsza się istotnie ich bazę pokarmową i zmusza do opuszczenia stanowiska. Najczęściej jednak stosujemy takie zabiegi, które mają na celu ochronić „obiekt" przed inżynierską działalnością bobrów. Cenne nasadzenia drzew (np. sady, drzewa pomnikowe itp.) możemy ogrodzić drucianą siatką (o wysokości minimum 1m), o oczkach w dolnej części nie mniejszych niż 10 x 10 cm. Aby taka zapora była skuteczna siatkę należy wkopać w ziemię na głębokość minimum 30 cm. Można również stosować nisko zawieszone ogrodzenie elektryczne (tzw. pastuch elektryczny). Aby to ogrodzenie było skuteczne należy zastosować 2-3 druty rozwieszone na wysokości około 10, 20 i 35 cm od gruntu. Pojedyncze cenne drzewa może grodzić indywidualnie pamiętając o tym aby siatka nie przylegała do pnia lecz znajdowała się od niego w pewnej odległości. Stosowane są również zabezpieczenia pojedynczych drzew polegające na smarowaniu dolnej części pnia farbą lub nietoksycznym klejem zmieszanym z piaskiem lub drobnym żwirem. Aby ta metoda była skuteczna należy zabieg powtarzać (np. po intensywnych opadach atmosferycznych).

W celu zmniejszenia poziomu wody w stawie bobrowym stosuje się rozbieranie tamy (lub tam) lub montowanie w nich rur przepływowych. Szczególnie polecane jest to drugie rozwiązanie (to pierwsze ma efekt zazwyczaj krótkotrwały), które utrzymuje stały poziom wody w stawie ograniczając jednocześnie możliwość penetracji brzegów przez bobry w poszukiwaniu pokarmu. Aby rura przepływowa była skuteczna od strony wlotowej musi być zabezpieczona koszem metalowym, który zapobiegnie jej zatkaniu przez bobry.

Te wymienione rodzaje działań i podobne zmierzające do pogorszenia warunków bytowania mogą ograniczyć lokalnie liczebność, a nawet doprowadzić do pozbycia się bobrów w danym miejscu. Nie powodują jednak bezpośrednio śmiertelności zwierząt, a więc nie maleje liczebność populacji. Można przypuszczać, że wypłaszane zwierzęta osiedlą się w innych miejscach. Jeśli te miejsca już były zasiedlone, to wzrośnie tam zagęszczenie i należy się spodziewać, że wzrośnie śmiertelność naturalna lub spowodowana przez czynniki antropogeniczne (na przykład kolizje drogowe), a także zmniejszy się rozrodczość lub przeżywalność młodych osobników.

Tak więc metody ograniczania liczebności poprzez pogarszanie warunków bytowania, aczkolwiek skuteczne w obniżaniu szkód, nie rozwiązują problemu nadmiaru bobrów i wbrew pozorom nie zapobiegają w niektórych sytuacjach śmiertelności zwierząt.

Wobec powyższego można odnieść wrażenie, że w Polsce został przegapiony czas, gdy liczebność populacji bobrów osiągnęła 4-6 tysięcy osobników, przy której pomysłodawca aktywnej ochrony bobra prof. Wirgiliusz Żurowski sugerował rozpoczęcie pozyskania, czyli gospodarowania ich populacjami. Przy obecnym stanie liczebności (ponad 137 tys. osobników) oraz poziomie szkód racjonalna gospodarka, w której przychody przewyższałyby odszkodowania wydaje się raczej niemożliwa, a doprowadzenie do stanu pozwalającego na gospodarowanie populacjami, tak jak to ma miejsce w przypadku jeleni lub dzików mogących powodować o wiele większe straty gospodarcze, wymaga determinacji, odważnych decyzji i przyzwolenia ze stron różnych organizacji i instytucji.

Czy to się uda???? – czas pokaże!

dr hab. inż. Marek Wajdzik, prof. UR
leśnik, pracownik naukowy Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, wykładowca Gospodarki łowieckiej. Działacz łowiecki, Członek NRŁ.

Zapomniane polowanie
i nietypowa bielizna

Andrzej Tomek

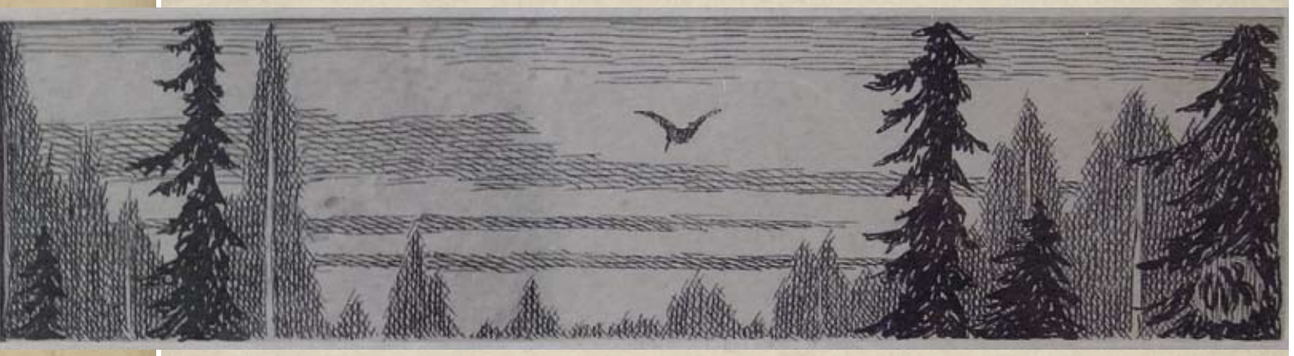

Nie pamiętam od kiedy, prawdopodobnie od młodych lat, miałem zwyczaj ubierania i noszenia ciepłej bielizny, łącznie z długimi kalesonami, nie tylko przez całą zimę, ale także w okresie jesiennym i wiosennym, czego moi koledzy, znajomi i przyjaciele nie tylko nie akceptowali ale wręcz wyśmiewali, jeśli przy jakiejś okazji mogli się o tym dowiedzieć. Zarówno mój szwagier jak i przyjaciel, będący przez długie lata partnerem brydżowym, ubierali taką bieliznę tylko podczas mrozów i to nie zawsze lecz wówczas, gdy zamierzali dłuższą chwilę przebywać nie w ciepłym lokalu lecz na dworze. Ja natomiast zawsze ubierałem długie kalesony oraz ciepły podkoszulek już podczas chłodnego ranka w czasie rykowiska jeleni, czyli w naszych górskich (karpackich) warunkach najczęściej po 20 września. A potem gdy nastawała jesień już w takiej bieliźnie chodziłem do wiosny. Gdy podczas studiów mieszkałem w akademiku koledzy się dziwili, zwłaszcza podczas ciepłych słonecznych dni, a takie w październiku często się zdarzają, że ciepła bielizna jest nieodłącznym elementem mego stroju. Dlatego takiego zwyczaju długi czas nie manifestowałem, a koledzy w akademiku przestali uważać mnie za ciepłolubnego mięczaka dopiero wtedy, gdy na spacerze przy okazji wolnego dnia na początku listopada, zaproponowałem kąpiel w jeziorze zwanym Rusałka, znajdującym się w Poznaniu na Sołaczu, w pobliżu zamieszkiwanego przez nas akademika. Podobno obecnie kąpiele w tym jeziorze usytuowanym w mieście są zakazane.

Ciepłą bieliznę nosiłem oczywiście przez całą zimę, przy czym podczas silnych mrozów lub całonocnej zasiadki na ambonie, korzystałem z bielizny wykonanej z grubego i ciepłego materiału i nie wyobrażam sobie zimowego polowania w lekkiej letniej bieliźnie. W takich przypadkach wspominałem, z pewnego rodzaju nostalgią, mojego dziadka, który podobno przed wojną światową (nie wiem czy przed pierwszą, czy przed drugą) miał specjalną bieliznę do polowań, wykonaną na zamówienie ze skóry z upolowanych przez niego saren rogaczy, wyprawionej na delikatną irchę. Długą i ciepłą bieliznę nosiłem przez całą zimę i przedwiośnie, aż do czasu polowania na słonki.

Teraz już na słonki wiosną nie wolno polować, a szkoda, gdyż to były jedne z najpiękniejszych polowań. Wiosną na „długodzioby" można było polować rankami i wieczorami, a szczególnie urokliwe były polowania wieczorne. Na takie polowanie należało wyjść około godzinę przed zachodem słońca, następnie ulokować się na pograniczu lasu (najlepiej iglastej tyczkowiny lub młodnika) i otwartej powierzchni (najlepiej podmokłej śródleśnej łąki lub górskiej hali) i tam zasiąść w maskującym stroju pod osłoną jakiegoś drzewa i wtopić się w nastrój zapadającego dnia. Obserwacja budzącej się do życia wiosennej przyrody, gdzie na gałęziach większości drzew widać nabrzmiałe pąki, a tylko niektóre drzewa wypuściły delikatne jeszcze nie rozwinięte listki, natomiast rosnące w cieniu jeszcze miały bezlistne zimowe gałązki, wraz ze zmieniającymi się kolorami drzew na tle nieba i zachodzącego słońca oraz śpiewem wielu gatunków rozmaitych ptaków, wywołuje dziwny a jednocześnie ekscytujący nastrój.

Gasnący dzień po zniknięciu zachodzącego słońca za koronami drzew powoduje mniejsze nasilenie lub milknięcie śpiewu ptaków i opadanie nastrojowego uniesienia, a z takiego błogiego spokoju nagle wyrywają elektryzujące i powtarzające się dźwięki: chrap, chrap, psiit, chrap, chrap, psiit, zwane przez myśliwych chrapaniem i poświstywaniem. To nadlatuje tokujący samiec słonki, wypatrujący samicy przygotowującej się do założenia gniazda i złożenia jaja. Takiego samca można było upolować przy pomocy strzału śrutowego. Jeśli samica jest gotowa do zapłodnienia, to podskakuje (a właściwie podlatuje) na wysokość około metra i wówczas samiec do niej opada, by ją pokryć, po czym odlatuje z chrapaniem i poświstywaniem, szukając następnej samicy. Podczas jednego wieczornego ciągu można było usłyszeć kilka (wyjątkowo kilkanaście samców), a zobaczyć najczęściej kilka. Jednak w ciągu kilku dni polowania strzelałem zazwyczaj jedną słonkę (rzadko dwie) i z tryumfem wracałem z nią do domu z udanego polowania.

Na polowanie na słonki zawsze zabierałem mojego psa, gdyż znalezienie zastrzelonego ptaka spadającego często pomiędzy drzewami mogło być niemożliwe podczas szarówki i kończącego się dnia, gdy już było ciemno pod drzewami. Wspominam tu moją sukę, gładkowłosą wyżlicę imieniem Inez, która była bardzo dobra do wyszukiwania w polach i wystawiania kuropatw, a gdy ją po raz pierwszy wziąłem na słonki, to początkowo nie wiedziała dlaczego przed wieczorem ma spokojnie zasiąść pod lasem, zamiast biegać po polach lub łąkach. Po pierwszej zaaportowanej słonce, zrozumiała o co chodzi i później aż do starości emocjonowała się trzęsąc się z podniecenia podczas zasiadki, a po usłyszeniu słonki wyprężona przywarowała pokazując kufą kierunek, z którego nadlatywała słonka. Było to bardzo dogodne, gdyż ona wcześniej słyszała słonkę niż ja i mogłem się przygotować do strzału, zanim ptak nadleciał na dogodny dystans.

Obserwacja wiosennej, budzącej się do nowego życia przyrody, wraz z emocjonującym wypatrywaniem po zachodzie słońca nadlatujących słonek, było dla niektórych osób niezapomnianym przeżyciem. Szczególnie wrażliwe kobiety, a zwłaszcza dziewczyny, mocno to przeżywały i chociaż już minęło ponad 20 lat, to niektóre panie do dziś wspominają te polowania jako ich najpiękniejsze i niezapomniane przyrodnicze przeżycia. Moja żona również uważała i do dziś uważa wiosenne ciągi słonek, jako najpiękniejsze polowania, najbardziej fascynujące i sprawiające najwięcej satysfakcji. A jeden mój starszy znajomy, zacny i prawy człowiek mawiał, że gdyby nie wiosenne polowanie na słonki, to chyba by się nigdy nie zakochał i nie ożenił. Żałować można naszych następców, że wprowadzone europejskie przepisy, zlikwidowały im takie romantyczne przygody i wrażenia.

Na wiosenne polowania na słonki jeździłem zawsze na kilka dni, często wykorzystując wolny od pracy dzień 1 maja, szczególnie w okresie gdy pochody pierwszomajowe uznawano za obowiązek pracowników zatrudnionych na państwowych posadach. Po powrocie zmieniałem mój ubiór, gdyż rezygnowałem z podkoszulków i długich kalesonów, chociaż jak wiadomo czasem w maju powracały chłody o czym świadczy staropolskie porzekadło mówiące o trzech zimnych ogrodnikach: św. Pankracym, św. Serwacym i św. Bonifacym, po których był dzień zimnej Zośki. Ale wcześniej w kwiet-

niu trafiały się dni gorące, podczas których ta bielizna mi doskwierała. Tu mi się przypomina jedna wędrówka na ćwiczeniach terenowych z końcem kwietnia, po górach w okolicach Krynicy i Tylicza. Pogoda była piękna i słoneczna i chociaż rankiem było rześko, to koło południa upał zaczął doskwierać tak, że chciałem się rozebrać jak do opalania w lecie. Zaczęła mi wtedy mocno przeszkadzać ta zimowa bielizna, tym bardziej, że nie wziąłem na zmianę krótkich letnich kalesonów, nie mówiąc o slipach. Z ulgą powitałem pojawienie się ciemnej burzowej chmury, co się zdarza po takim letnim upale. Miałem nadzieję na chłodny deszcz, a tymczasem spadło kilka dużych kropel i chmura znikła, a ja jakoś do wieczora dotrwałem. Gdy wróciłem do kwatery, dowiedziałem się że gdzieś w Związku Radzieckim w jakimś nieznanym wówczas Czarnobylu miała miejsce jakaś awaria, a po powrocie do Krakowa przyjaciel z Politechniki Krakowskiej powiedział, że te krople to – jego zdaniem – był prawdopodobnie opad popromienny i poradził bym zażywał płyn z jodem.

Andrzej Tomek
Nauczyciel akademicki
w Krakowie i w Poznaniu
(emerytowany profesor), biegły
sądowy, współautor lub autor 224
opracowań,
w tym podręcznika „Łowiectwo”
i 9 książek naukowych, odznaczony
Złotym Krzyżem Zasługi, „Złomem”
i„Medalem Za Zasługi Dla Łowiectwa
Krakowskiego.

fot.Wacław Nowak

Polowania na ptaki
metodą wabienia cz.II

Sławomir Pawlikowski

rys. Hubert Zwinczak

W poprzednim numerze Myśliwca przybliżyłem Szanownym Koleżankom i Kolegom tajniki wabienie ptactwa wodno-błotnego tzn. kaczek i gęsi. Dzisiejszy z kolei poświęcam wabieniu jarząbków, słonek oraz cietrzewi.

Na jarząbki w Polsce poluje niewielka rzesza myśliwych. Powodem jest areał występowania tego gatunku. W zasadzie spotykamy go w Karpatach i północnowschodniej części kraju. Okres polowań to czas tak zwanych toków pozornych. Dlaczego toki pozorne? Otóż jak nam wiadomo, okres godowy ptaków to wiosna. Jarząbki, będące najmniejszym gatunkiem kuraka leśnego swoje toki odbywa wiosną. Jednak podobnie jak cietrzewie, jarząbki jesienią odbywają tak zwane toki pozorne. Kiedyś słyszałem opinię, że w ten sposób zbierają się w pary i do wiosny już razem przebywają aż do toków właściwych. Jarząbek jest bowiem gatunkiem monogamicznym w przeciwieństwie do jego większego kuzyna cietrzewia. Tyle że cietrzew pomimo swojej poligamicznej natury też jesienią odbywa toki pozorne. Zwłaszcza bardzo aktywne są koguty z wiosennych lęgów, czyli te najmłodsze. Wracając jednak do toków pozornych jarząbków ustalmy czas ich trwania. Z własnego doświadczenia powiem, że różnie z tym bywa. Dużo zapewne zależy od pogody. Jarząbki lubią pogodę słoneczną. Raczej nie przeszkadzają im jesienne przymrozki. Najgorsza pogoda to wiatr i deszcz. Wiatr przede wszystkim przeszkadza w lokalizacji jarząbków. Głos jarząbka to bardzo wysoki pisk, czasem na granicy ultradźwięku. W czasie wiatru praktycznie niesłyszalny. Zimna i mokra pogoda również nie jest dobra, ale już częściej możemy go usłyszeć. Toki pozorne najczęściej zaczynają się w drugiej dekadzie września i z przerwami podczas załamania pogody trwają nawet do końca listopada. Kiedyś pamiętam po październikowym ochłodzeniu (śnieg i mróz) w Beskidzie Niskim przyszło listopadowe ocieplenie, gdzie przez dzień było +15^{0}C. Jarząbki od nowa zaczęły pozorne toki. Z tego co pamiętam było to dobre 2 tygodnie po polowaniu hubertowskim. Świetnie reagowały na wab i słychać je było nawet w środku dnia. Być może był to inny efekt? Może 2 tygodnie śniegu i zimy w październiku potraktowały jako całą zimę i zaczęły toki wiosenne? Teraz co do pory dnia. Najlepsza moim zdaniem pora dnia to poranek po wschodzie słońca do godziny 9.00 – 10.00 i popołudnie między 15.00 – 17.00. Lepszy moim zdaniem jest jednak poranek. Wabimy na głos koguta. Długi, przeciągły pisk wchodzący praktycznie w pasmo ultradźwięku. Pierwsza część pisku tijjułit, tijułiit i druga często różniąca się od siebie tittidit titttidit lub tittidit tirrit. Wielu ornitologów twierdzi, że u jarząbków występują regionalne dialekty, i w zależności od regionu występowania mają specyficzny głos. Ja obserwując wielokrotnie te ptaki w Polsce jak i na Słowacji czy Białorusi, przysłuchując się im stwierdziłem, że bardziej jest to cechą osobniczą niż zależy od regionu występowania. Po wielokrotnych przesłuchaniach materiału nagranego w Polskich Karpatach czy w okolicach Witebska na Białorusi stwierdzam, że niczym się te głosy praktycznie nie różnią. Przy czym, zarówno na Białorusi jak i w Polsce w tym samym terenie słyszałem inaczej brzmiące głosy poszczególnych osobników. Co do wabików, przy pomocy których wabimy jarząbki to polecam wabik francuskiej firmy Helen Baud lub austriackiej firmy Faulhaber. Bardzo dobry jest również wabik niemieckiej firmy Hubertus tylko posiada jedną wadę. Tak zwana ligawka, czyli część wabika, dzięki której tworzy się dźwięk, jest wykonana z metalu, który po pewnym czasie koroduje, a wabik przestaje działać. Z reakcją na wab u jarząbków też bywa różnie. Czasem ptak przylatuje i siada na gałęzi w pobliżu wabiącego. Czasem przylatuje i ostatnie 20 -30 metrów cieknie po ziemi do wabiącego. Czasem też przelatuje z miejsca na miejsce, ale w pewnej odległości od wabiącego. Najciężej jest zlokalizować te ptaki, które siadają na ziemi kilkadziesiąt metrów przed wabiącym i ciekną do wabiącego gęstym podszytem. Łatwiej jest na przykład w bukowym lesie jeszcze w czasie suszy, gdyż słychać na suchych liściach odgłosy wyciekania. Jak ściółka jest mokra podchodzą do wabiącego niczym duchy. Niektóre osobniki są bardzo rozmowne i odzywają się na każdy wab, a niektóre odzywają się rzadko i gorzej je zlokalizować. Polowanie to wymaga na pewno cierpliwości i dobrego słuchu. Do tego momentu omówiłem większość gatunków ptaków, na które polujemy metodą wabienia w Polsce. Teraz kilka słów na temat dwóch gatunków, na które w przeszłości polowaliśmy na wab w Polsce, a teraz możemy zapolować na nie u naszych sąsiadów, czyli na Białorusi i w Rosji. Pierwszym gatunkiem jest słonka. Co prawda na słonki w Polsce polujemy, ale wyłącznie jesienią kiedy metoda wabienia się nie sprawdza, ponieważ na wab reagują tylko na wiosnę, podczas wiosennych ciągów. Wiosenne polowania, które w Polsce były możliwe do 2004 roku są bardzo efektywne przy zastosowaniu metody wabienia. Jak większość wie, samiec słonki w czasie lotu tokowego, czyli tak zwanego ciągu wydaje dwa rodzaje głosu. To chrapanie i świstanie lub psykanie. Natomiast samica przebywająca na ziemi, przeważnie w zaroślach na skraju lasu tylko odzywa się świstaniem. Wabimy więc świstaniem, kiedy słyszymy nadlatującego samca. Samiec reagujący na wabienie często zwalnia lot, a czasem go zniża. Przez to staje się łatwiejszym celem. Bywa jednak czasem tak, że samiec zaczyna robić różnego rodzaju powietrzne akrobacje, które są elementem popisów w czasie ciągów i taka sytuacja znacznie utrudnia trafienie wabionego ptaka. Na szczęście nie zdarza się to często, bo w przeciwnym razie wabienie zamiast ułatwiać utrudniałoby polowanie na słonki. U naszych wschodnich sąsiadów na słonki można polować tylko wieczorami, pomimo tego, że słonki ciągną też o świcie. Ma to podobno racjonalne wytłumaczenie, w tym, że samce rano w czasie ciągów częściej kopulują niż wieczorem? Więc „nielzja" im przeszkadzać. Polowanie na cietrzewie to już ostatnia rzecz, o której krótko napiszę.

W Polsce polowania na cietrzewie zakończyły się ponad 25 lat temu. Przyczyną był nagły spadek liczebności naszej krajowej populacji. Do tej pory większość naukowców głowi się nad przyczyną takiego stanu. Jedni twierdzą, że to wina nadmiernej ilości drapieżników, zarówno tych latających jak tych stąpających po ziemi. Inni twierdzą, że to zmiany w sposobie użytkowania gruntów są tą przyczyną. Jedno jest pewne cietrzewia już prawie nie mamy i populacja znajduje się w dużo gorszym położeniu niż chociażby populacja głuszca. W Rosji czy Białorusi nic temu gatunkowi nie zagraża. W wielu rejo-

wabik na jarząbki

wabik na jarząbki

rys. Hubert Zwinczak

wabik na cietrzewie

nach jest ich, jak to mówią Rosjanie „kak waron na dieriewach". Na jednym tokowisku można czasem spotkać kilkaset kogutów. Metoda wabienia jest bardzo skuteczna i dzięki niej możemy kilkakrotnie strzelać z jednego miejsca w czasie porannego polowania. Wspomnę tylko krótko o przygotowaniu takiego polowania. Otóż pierwszym elementem przygotowania się do niego jest przed sezonem polowań na cietrzewie zlokalizowanie miejsc igrzysk cietrzewich. Ponieważ koguty cietrzewia zaczynają już swoje toki nawet w lutym od tego okresu zaczynamy lokalizowanie takich miejsc. Kilka, a nawet kilkanaście dni przed sezonem stawiamy budki, zwane inaczej szałasami. Budki powinny być wykonane z materiału typowego dla ich otoczenia. To znaczy, jeśli w pobliżu rosną sosny, budkę robimy z gałęzi sosnowych. Jeśli w pobliżu są szuwary, budkę robimy z trzciny. Kiedy zaczyna się sezon na cietrzewie przyjeżdżamy najlepiej w mroźny, pogodny poranek, jeszcze przed świtem. Najlepiej dobrą godzinę przed świtem. Na pół godziny przed świtem zdarza się, że już tokowik, czyli kogut rozpoczynający toki w danym miejscu jest już obecny. Swoją obecność najczęściej sygnalizuje głośnym łopotem przy siadaniu na ziemi. Czasem jednak ląduje bezszelestnie. Wtedy nadsłuchujemy tak zwanego czuszykania, czyli głosu będącego swoistym wezwaniem innych kogutów do wspólnych toków. Kiedy przyleci więcej kogutów zaczyna się tak zwane bulgotanie. Koguty wydają głosy przypominające gotowanie wody w garnku. W rzeczywistości nadymają przeponę, ogon zwany lirą rozkładają i naciągają na grzbiet i zaczynają swego rodzaju taniec. Często przy tym przerywają czuszykaniem to bulgotanie. Często również dochodzi do walki, przeganiania się nawzajem itd. To wszystko trwa do czasu wschodu słońca, a raczej do kilkunastu minut przed wschodem słońca. Koguty zastygają w bezruchu. Wszystko ucicha. Wydaje się jakby wszystkie nagle zasnęły. Składają z powrotem liry w stan spoczynku i nastaje kilkanaście minut ciszy. W momencie wschodu słońca wszystko rusza od nowa. Teraz następuje moment, w którym

wabik na cietrzewie

rys. Hubert Zwinczak

powinno się wybrać ładnego starszego koguta i strzelić. Po strzale większość kogutów, a czasem wszystkie odlatują do pobliskich zarośli. To jest ten czas, kiedy możemy przystąpić do wabienia. Imitujemy na wabiku głos czuszykania, po którym pierwszy powinien pojawić się tokowik a za nim reszta kogutów. Osobiście wabiłem 4 razy te same koguty w czasie jednego polowania po 4 wcześniejszych strzałach. Wabienie cietrzewi sprawdza się również, kiedy tokowik wyląduje gdzieś dalej od budki, w miejscu, które jest za odległe na oddanie skutecznego strzału. Jeśli chodzi o wabiki na cietrzewie to polecam wabiki niemieckiej firmy Hubertus i francuskiej firmy Helen Baud. Życząc miłej lektury zapraszam do kolejnej części moich rozważań o wabieniu zwierzyny.

Darz Bór.

Sławomir Pawlikowski - pomysłodawca i współzałożyciel Klubu Wabiarzy Zwierzyny PZŁ. Właściciel biura polowań Pawlikowski Hunting Travel. Autor wielu publikacji w prasie łowieckiej oraz rozdziału poświęconego sztuce wabienia w „Wielkim atlasie łowiectwa". Wielokrotny uczestnik programów TV „Darz Bór".

rys. Hubert Zwinczak

Sekret Francuzów
i moje niebieskie spaniele

Kilka lat temu przeczytałem w jednym z czasopism o niebieskich spanielach pikardyjskich (epagneul bleu de picardie). Z opisu i charakterystyki rasy wynikało, że rasa ta spełnia moje oczekiwania, gdyż jako myśliwy zawsze chciałem mieć psa polującego. Po zebraniu informacji na jej temat, znalazłem renomowaną hodowlę we Francji i na początku 2017 roku zamówiłem pierwsze szczenię – suczkę, którą przywiozłem do Polski. Była to Naya, która wszystkich domowników zauroczyła i rozkochała i to właśnie od niej zaczęła się nasza przygoda z niebieskimi spanielami pikardyjskimi. Kilka miesięcy później przywiozłem Nore, a rok później Only i psa Orsona.

Zarejestrowaliśmy nasze psy w krakowskim oddziale Związku Kynologicznego w Polsce, a po spełnieniu wszystkich wymogów uzyskaliśmy uprawnienia hodowlane. Naszej hodowli nadaliśmy przydomek Kolebka Czarnej Koli.

Rasa ta w Polsce jest mało znana wśród myśliwych, a nawet kynologów dlatego też opiszę ja pokrótce. Psy tej rasy - o mocnej i solidnej budowie ciała - należące do wyżłów kontynentalnych w typie spaniela (VII grupa FCI) mają wysokość w kłębie 55-60 cm (suki są nieco mniejsze) i ważą 17-25 kg. Oczy mają ciemne, kufę długą i szeroką, a uszy grube i opadające. Sierść o umaszczeniu ciemnopopielatym wpadającym w odcień niebieskawy z czarnymi łatami jest nieznacznie falowana, przy czym nogi i ogon są bujnie owłosione z frędzlami. Żyją średnio 13 lat.

Rasa została zatwierdzona przez FCI w 1938 r. jako odrębna rasa spanieli pikardyjskich. Jest znana tylko w kilku krajach - we Francji jako jej rodzimym państwie, Holandii, USA i Kanadzie. Niebieskie spaniele pikardyjskie zaliczają się do wszechstronnych wyżłów o nieco spokojniejszym temperamencie. Polują trochę wolniej niż wyżły, pole okładają nie za szeroko i trzymają się bliżej swojego pana. To psy niezwykle żywe podczas pracy, aktywne, potrzebujące bardzo dużo ruchu, ale poza tym o spokojnym usposobieniu, co znacznie ułatwia szkolenie. Niebieski spaniel pikardyjski choć niezwykle wytrzymały i wytrwały w polu po długich wędrówkach staje się „niewidoczny w domostwie". Ten pies wystawia zwierzynę i aportuje ją także z wody. Jest użytkowany przede wszystkim na ptactwo, ale może być również pomocny przy polowaniach na zwierzynę drobną, a nawet jako dzikarz. To spaniel posłuszny i podporządkowany. Z natury łagodny i nie ma „morderczych" zapędów wobec innych psów. W przeciwieństwie do innych bardziej niezależnych psów myśliwskich, niebieski spaniel pikardyjski do dobrego samopoczucia potrzebuje wyłącznie towarzystwa swego właściciela.

W naszej hodowli do tej pory dochowaliśmy się 24 szczeniąt, które „poszły w świat" między innymi do: Polski, Niemiec, Austrii i Czech. Kilka z nich jest w rękach myśliwych, a suczka Rita pracuje nawet w sokolnictwie jako tzw. pies podsokoli.

Aktualni w naszej hodowli urodziło się 13 osesków. Ciekawostką jest to, że rodzą się one białe z czarnymi plamkami i z czasem nabierają koloru czarnego przesianego bielą co daje efekt barwy niebieskiej.

Tym tekstem chciałbym zachęcić wszystkich Kolegów myśliwych do poznania tej rasy. Chciałbym abyśmy ją rozpowszechnili bo jest tego warta gdyż w naszym kraju, a w Małopolsce w szczególności występuje jeszcze dużo ptactwa w tym kaczek i bażantów. Z ubolewaniem jednak stwierdzam, że my myśliwi, hodujemy za mało psów użytkowych. Dziś polujemy przede wszystkim na zwierzynę grubą i taki pies jak mój staje się mniej potrzebny. Rasa jest jednak bardzo dobra, więc może warto spróbować? W razie potrzeby służę Kolegom radą i postaram się odpowiedzieć na każde pytanie.

Przemysław Hendel
tel. 509 4245 56 hodowla Kolebka Czarnej Koli ul. Skalna 3,32-070 Czernichów
e-mail: kolebkaczarnejkoli@gmail.com

Jubileusz Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich we Lwowie

Waldemar Smolski

Lwów nazywany jest miastem muzeów, fakt faktem, że jest ich tam bardzo wiele. Tematyka muzeów jest bardzo bogata, wpływ na to niewątpliwie miała wielka różnorodność kulturowa mieszkańców przepięknego Lwowa. Muzea te powstawały w różnych okresach, a tworzono je zgodnie z zapotrzebowaniem społecznym, politycznym czy po prostu z potrzeby chwili wielkich ówczesnego świata. Tak się stało z Muzeum Przyrodniczym im. Dzieduszyckich we Lwowie. Kolekcje oraz zbiory Dzieduszyckich gromadzone latami przez kilka pokoleń, lokowane były w pałacach w Poturzycy, Pieniakach, Zarzeczu oraz we Lwowie. Były one oczkiem w głowie ordynata Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego (1825-1899), marszałka Sejmu Krajowego Galicyjskiego, jednego z najbogatszych magnatów galicyjskich XIX wieku, inicjatora powstania Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego protoplasty Polskiego Związku Łowieckiego. Majątek odziedziczył po rodzicach, jako jedyny syn Józefa hr. Dzieduszyckiego i Pauliny z Działyńskich. Z domu wyniósł zainteresowania przyrodnicze, etnograficzne i kulturoznawcze. Całe swoje życie gromadził zbiory przyrodnicze i łowieckie oraz uzupełniał już i tak przebogate zasoby biblioteczne. Przez ostatnie dwie dekady swego życia poświęcił się intensywnej pracy naukowej oraz stałemu wzbogacaniu posiadanej kolekcji ornitologicznej jak i etnograficznej. Przedstawiciel starego rodu ruskiego jak sam o sobie mówił, jednocześnie wielki patriota polski był wielkim rzecznikiem zbliżenia polsko - ukraińskiego.

Jego ideą życiową było utworzenie muzeum przyrodniczego.

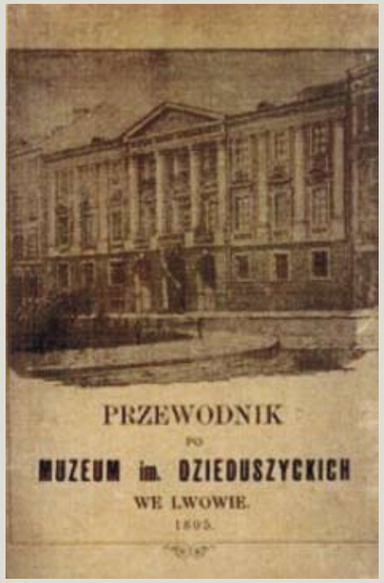

W roku 1868 zakupił okazały budynek we Lwowie przy ówczesnej ulicy Tadeusza Rutowskiego 18 (obecnie ul. Teatralna 18). Budynek ten położony jest bardzo korzystnie, pomiędzy dwoma teatrami, wśród zabytkowej zabudowy starego Lwowa, w centrum miasta.

Po dokonaniu remontu i zaadaptowaniu budynku na potrzeby muzeum, Włodzimierz hr. Dzieduszycki przeniósł tu swoje zbiory biblioteczne oraz cenną galerię obrazów z Poturzycy oraz rozproszone zbiory przyrodnicze. Po skatalogowaniu zbiorów, stopniowo udostępniano muzeum zwiedzającym. Wraz ze zbiorami do Lwowa przenieśli się: kustosz biblioteki poturzyckiej, późniejszy pierwszy redaktor czasopisma GTŁ „Łowiec" Józef Łoziński oraz jeden z najlepszych ówczesnych preparatorów Władysław Zontak. Wykorzystując zapowiadaną wizytę cesarza Franciszka Józefa we Lwowie, Włodzimierz Dzieduszycki w roku 1880 ogłosił oficjalnie przekazanie utworzonego przez siebie Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich, jako dar dla Narodu jednocześnie zostając dożywotnim beneficjentem tegoż. W tym samym roku wydano opracowany przez hrabiego obszerny pierwszy przewodnik po muzeum. Kolejne ukazały się w roku 1895 i 1906. **Tak zaczęła się 140 letnia historia tego wspaniałego Muzeum.**

Muzeum szybko zdobyło uznanie w kraju jak i za granicą. Niewątpliwie wpływ na to miały zgromadzone tam zbiory. W okresie międzywojennym określano je, jako najbogatsze polskie zbiory przyrodnicze, prehistoryczne i etnograficzne.

Do tych najcenniejszych należą odkryte z początkiem XX wieku we wsi Starunia koło Stanisławowa duże fragmenty szkieletu mamuta z ciosami, oraz części ciała nosorożca włochatego, sprzed 30 000 lat (epoka plejstocenu). Wydobycie w roku 1907 z pokładów wosku ziemnego i naukowe opracowanie pod względem anatomicznym ciała nosorożca włochatego oraz szkieletu mamuta przysporzyło Muzeum im. Dzieduszyckich światowy rozgłos. Oba okazy trafiły w 1908 roku do Muzeum Przyrodniczego we Lwowie, gdzie znajdują się do dziś.

Odkrycie to wskazywało, że kopalnia w Staruni może być perspektywicznym obszarem dla pozyskania dobrze zachowanych zwierząt plejstocenu. Naukowcy ze Lwowa i Krakowa doszli do wniosku, że należy przeprowadzić poszukiwania i badania na dużą skalę. Projekt ten udało się zrealizować dopiero w 1929 r., gdy krakowski oddział PAU zdobył pokaźne środki finansowe na zorganizowanie poszukiwań. Reaktywowano opuszczony szyb kopalniany z 1907 r. i zbudowano nowy szyb badawczy wraz ze sztolnią łączącą oba szyby. Szczęście dopisało, 23 października 1929 r. w sztolni napotkano na głębokości 12,5 m prawie nieuszkodzony okaz nosorożca włochatego, który później w wyniku badań okazał się młodą, trzyletnią samicą. Nosorożca wydobyto na powierzchnię 17 grudnia1929 r., a 22 grudnia przewieziono w trocinach i kostkach lodu do Krakowa, gdzie znajduje się do dziś i jest wystawiony w Muzeum Przyrodniczym PAN przy ul. Sebastiana 17. Ostatecznej preparacji i konserwacji dokonał rzeźbiarz z wykształcenia, a preparator z zawodu, pracownik lwowskiego muzeum Franciszek Kalkus. Odkrycie to stało się bezpośrednią przyczyną założenia nowego pisma sfinansowanego przez Polską Akademię Umiejętności w Krakowie pt. „STARUNIA". Kiedy muzea zostaną otwarte dla zwiedzających, dotrzyjcie na ul. Sebastiana i obejrzyjcie jedyny na świecie kompletnie zachowany egzemplarz nosorożca włochatego ze Staruni.

Ponadto w murach Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich we Lwowie znajdował się cenny „Złoty Skarb Michałkowski". Wykopalisko z VI-VII w. p.n.e., odkryte w latach 1878 -1879 przez ludność miejscową w Michałkowie koło Barszczowa w osuwiskach brzegów naddniestrzańskich. Znalezisko zawierało ok. 5 kg złotych przedmiotów m. innymi połamaną złotą koronę królewską, biżuterię i inne przedmiot pochodzące prawdopodobnie z grobu króla scytyjskiego. Większość tego wykopaliska zdobył dla muzeum Władysław Zontak. Dokładny opis skarbu, znajdziemy w wydanej w 1904 r. monografii muzealnej poświęconej Złotemu Skarbowi Michałkowskiemu, opracowanej przez Karola Hadaczka.

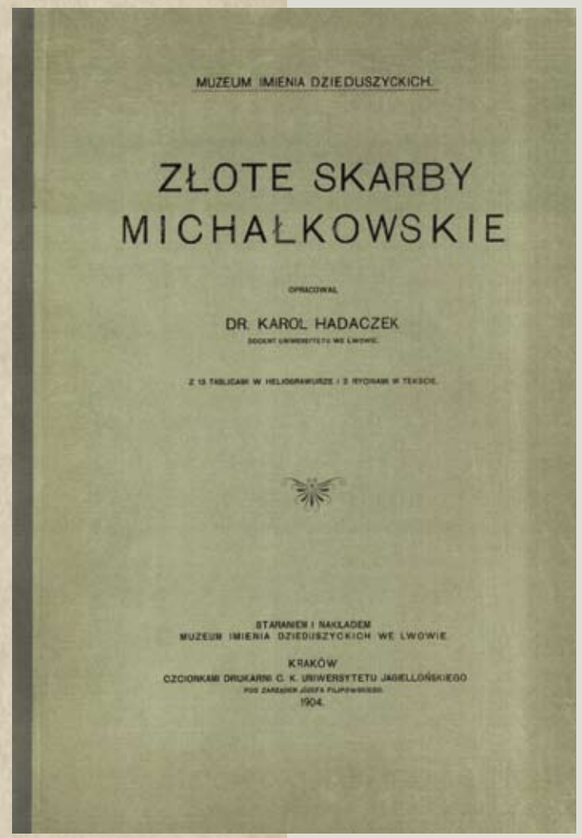

MUZEUM IMIENIA DZIEDUSZYCKICH.

ZŁOTE SKARBY MICHAŁKOWSKIE

OPRACOWAŁ

DR. KAROL HADACZEK

DOCENT UNIWERSYTETU WE LWOWIE.

Z 13 TABLICAMI W HELIOGRAWURZE I 3 RYSUNKAMI W TEKŚCIE.

STARANIEM I NAKŁADEM MUZEUM IMIENIA DZIEDUSZYCKICH WE LWOWIE

KRAKÓW

CZCIONKAMI DRUKARNI C. K. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

POD ZARZĄDEM JÓZEFA FILIPOWICZA.

1904.

Napisałem, że ten cenny skarb znajdował się w Muzeum, bo podczas okupacji wojsk sowieckich Lwowa (1939-1941) w niewyjaśnionych okolicznościach zaginął.

Naukowa biblioteka muzeum w latach przedwojennych liczyła ok.70 tys. cennych tomów, w tym wiele rzadkich starodruków, chociażby „Naturalis Historiae" Pliniusza Starszego.

Podczas zawieruchy II Wojny Światowej i po jej zakończeniu zbiory te uległy rozproszeniu, ale i tak, to, co zostało w bibliotece robi wrażenie. Nadal znajdują się tam prawdziwe perełki z dziedziny łowieckiej.

Dla Muzeum po roku 1945 nadeszły trudne czasy. Po wojnie „zaopiekowała" się nim Radziecka Akademia Nauk i przez następne lata muzeum przeszło przeróżne stadia reorganizacji. Muzeum nie prowadziło ekspozycji wystawienniczej dla zwiedzających. Dopiero w roku 1960 w pomieszczeniach na parterze utworzono ekspozycję parazytologii, która była dostępna dla zwiedzających do roku 1995.

Następnie z uwagi na zniszczenia wojenne, wyeksploatowanie budynku i konieczność przeprowadzenia gruntownych prac zabezpieczających oraz modernizacyjnych, budynek został wyłączony z eksploatacji i poddany generalnemu remontowi. Remont niesamowicie się ślimaczył. Trwał 17 lat - do roku 2013. Podczas remontu zbiory zmagazynowano w pomieszczeniach górnego piętra po ich zabezpieczeniu. Od zakończenia remontu Muzeum borykało się z brakiem funduszy na zorganizowanie godnej ekspozycji posiadanych zbiorów. Przełom nastąpił dopiero z początkiem 2019 roku, gdzie dzięki prywatnemu sponsorowi - Rinart Akhmetov Foundation - udało się stworzyć pierwszą małą jeszcze, ale już profesjonalną wystawę, której uroczyste otwarcie nastąpiło w czerwcu 2019 r., na które zostałem zaproszony przez dyrektora Jurija Czornobaja.

Na ekspozycji pokazano m.in. to, co muzeum ma najcenniejszego w swoich zasobach tj. szkielet mamuta z ciosami, oraz części ciała nosorożca włochatego.

Za życia Włodzimierza Dzieduszyckiego

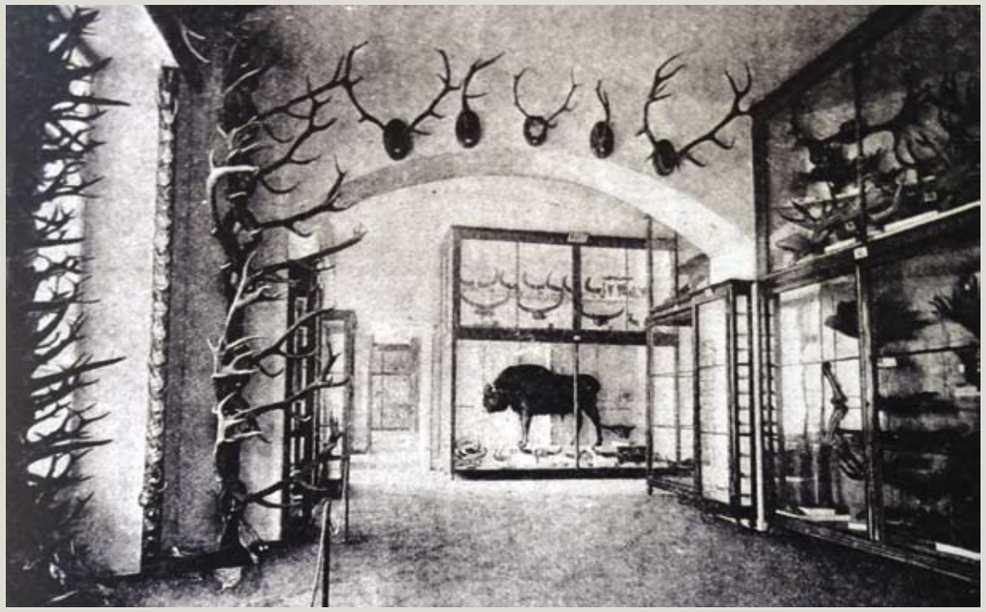

Autor wraz z panią Kustosz Biblioteki Iryną Susulowską w Bibliotece Muzeum, gdzie znajdują się m.in.zbiory słynnej biblioteki Poturzyckiej

generalnym kustoszem był Władysław Zontak. Od 1905 kustoszem muzeum był Marian Łomnicki, a w dwudziestoleciu międzywojennym dyrektorem był Jarosław Łomnicki (1915-1931) oraz Jan Kinel. Funkcję dyrektora Lwowskiego Muzeum Przyrodniczego pełnił do niedawna dr nauk biologicznych Jurij Nikołajewicz Czornobaj, pracujący w muzeum od 1987 roku.

Obecnie funkcję dyrektora Muzeum pełni dr Taras Janyckyj. W muzeum pracuje znaczne grono wysoko wykwalifikowanych pracowników naukowych, że wymienię Natalię Dzyubenko, Andreja Bokoteja., Wiktora Wojczyszyna, Sofiję Bakajewą, Anatolija Mamczura, Olega Orlowa, Marynę Raguline. Obecnie prowadzone są wielokierunkowe i wieloetapowe prace badawcze na podstawie rozległych opracowań

Autor w rozmowie z Andriy Bogotey - naukowcem, prac. Muzeum

dr nauk biol. Jurij Czornobaj

terenowych, oraz prace związane ze zgromadzonymi kolekcjami, głównie zoologicznymi i botanicznymi oraz organizacją kolejnych ekspozycji muzealnych.

Historia Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckiego we Lwowie **(obecnie placówka działa pod zarządem Ukraińskiej Akademii Nauk jako Państwowe Muzeum Przyrodoznawcze)** zaczęła się od pasji kolekcjonerskiej, wielkiego polskiego działacza społecznego, myśliwego Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. Wprawdzie jego wizja ekspozycji zbiorów jest nieaktualna. Wpłynęły na to zmiany geopolityczne, destrukcje i zniszczenia wojenne, rozproszenie zasobów muzealnych, jak też propagandowe i organizacyjne.

Przed nowym kierownictwem i pracownikami Muzeum stoi niełatwe zadanie, opracowania nowej koncepcji ekspozycyjnej, w której mam nadzieje znajdzie się miejsce na relację i rys historyczny dotyczący muzeum. Życzmy im sukcesu. Szanowni czytelnicy „MYŚLIWCA", jeśli kiedykolwiek odwiedzicie Lwów, nie omieszkajcie wstąpić do muzeum... przy ul. Teatralnej 18. Myśliwi z Polski są tam mile widziani.

Waldemar Smolski

Autor obok popiersia Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego znajdującego się w holu muzeum

Myśliwskie kadry
„LANDSZAFT" STRZAŁEM W „DZIESIĄTKĘ"

Magdalena Langer
fot. autor

Myśliwi czują przyrodę jak nikt inny. Jest to fakt niezaprzeczalny. Nie ma dla nich nieodpowiedniej pogody, aura może być nieco lepsza lub nieco gorsza, ale zła - nigdy! Mżawka, burza, gradobicie …. Może być i upał i trzaskający mróz…. Pora dnia? Zawsze dobra aby wyjść w teren! A sam teren? Cóż. Każdy jednakowo atrakcyjny - równinny czy górzysty, suchy czy podmokły …. Leśny, polny, łąkowy, stepowy ….. Ważne, żeby być na łonie natury. Podobne odczucia charakteryzują fotografa. Obcowanie z każdym rodzajem przyrody jest dla niego wspaniałe, a fotografia przyrodnicza jak najbardziej koresponduje z łowiectwem. Zarówno myśliwy, jak i fotograf działają na tym samym polu, różni się jedynie sprzęt do oddawania strzałów. Bardzo często obie te postacie spajają się w jedno. Myśliwy fotografuje, a fotograf poluje. Wszak wspaniałymi tego przykładami są Włodzimierz Puchalski, Wojciech Plewiński….. czy przedstawiciel młodszego pokolenia Krzysztof Celuch.

Dobre fotografie, aczkolwiek zupełnie odmienne, mogą powstać w każdych warunkach, chociaż różnić będą się znacznie nastrojem, dynamiką, klimatem czy impresją i wyrazem. Nawet te najtrudniejsze warunki, uciążliwe dla myśliwego, fotografa mogą wprawić w euforię stwarzając ogromne możliwości twórcze. To, jak dany obraz malujący się przed naszymi oczami sfotografujemy zależy nie tylko od naszej wrażliwości i spostrzegawczości; czasem potrzeba chwili wyciszenia, zadumy, spokojnej oceny. A czy myśliwy podczas polowania ma na to czas? No, niestety, bardzo rzadko. Uwaga myśliwego wyczulona jest na szelesty dobiegające z pól i kniei, na potencjalne odgłosy zbliżającej się zwierzyny, na zapachy, na wszelkie ślady mogące naprowadzić na strzał, a nie na rozkoszowanie się pięknymi widokami. Myśliwemu trudno jest pogodzić chęć oddania strzału z wykonaniem zdjęcia. Gorąco jednak namawiam jeszcze raz: zabierajcie ze sobą również aparat fotograficzny gdy wyruszacie w knieję. Nie wątpię, że efekty zapisu fotograficznego przyniosą Wam przyjemność i sprawią satysfakcję.

Fotografię przyrodniczą, dla naszych celów, możemy podzielić na zdjęcia flory i zdjęcia fauny. Fauna była już przedmiotem dywagacji w poprzednich felietonach. W przypadku flory mamy do czynienia z obiektami zdecydowanie stabilnymi w porównaniu ze zwierzyną, mamy więc czas aby odpowiednio, według własnych upodobań i w pełni świadomych przemyśleń podejść do wybranego tematu, którym jest, ogólnie ujmując, wycinek otaczającej nas natury. Tylko od nas zależy w jak pojemne ramy go zamkniemy - od najszerszego, panoramicznego ujęcia krajobrazu, poprzez szersze lub węższe plany, aż do detalu. Jak przełożymy trójwymiarowość rzeczywistości do dwóch wymiarów na fotografii, aby nie zatracić atrakcyjności fotografowanej sceny. Pejzaże mogą równie dobrze prezentować się w prostokątach o orientacji pionowej, jak i poziomej; kwadrat stosujemy rzadziej i to często do symetrycznych kompozycji. Fotografując przyrodę staramy się wyeliminować ze zdjęć wszelkie oznaki ludzkiej obecności. Kadrujemy tak, aby w ujęciu nie znalazł się żaden człowiek. Z jednej strony to zrozumiały zabieg, ponieważ chcemy utrwalić sam krajobraz i pokazać go w jak najbardziej naturalny sposób. Z drugiej strony warto czasem dodać zdjęciu skali, zastosować punkt odniesienia, umieszczając w kadrze sylwetkę człowieka. Dzięki takiemu zabiegowi łatwiej będzie ocenić wielkość tego, co przedstawiamy na fotografii. Również skupianie się na poszczególnych drobnych elementach typu liści, kwiatów czy owoców, zmierzając w kierunku makrofotografii może być niezmiernie pasjonujące. Zdarza się, że na zdjęciu dostrzeżemy detal, który umknął naszej uwadze w plenerze.

Jak wspominałam wcześniej, każda pogoda jest słuszna aby fotografować, ale termin wyjścia w plener „na zdjęcia" powinien być już odpowiednio dostosowany do wybranego miejsca ze względu na oświetlenie. Wspomnę zatem o dwóch, interesujących z punktu widzenia fotografa, porach dnia. Są to tzw. niebieska (błękitna) i złota godzina. Niebieska godzina to czas przed wschodem słońca i po jego zachodzie - kiedy tarcza słońca nie jest obecna nad horyzontem.

Często nie definiuje się jej w kategoriach technicznych, ale zwraca uwagę na jej znacznie impresyjne. Wyznacza ona w gruncie rzeczy czas półmroku, który trwa zawieszony pomiędzy nocą a dniem, kiedy to światło słoneczne jest rozpraszane – za sprawą efektu Rayleigha – na cząstkach powietrza atmosferycznego i staje się ciemnoniebieskie. Niemniej jednak bezsprzecznie najczęściej wykorzystywana jest tzw. złota godzina, czyli fragment dnia w trakcie wschodu słońca i tuż po nim oraz przed zachodem słońca i w czasie jego trwania. Wbrew pozorom – złota godzina (podobnie jak i niebieska) nie trwa idealnie 60 minut. Jej czas zależy od szerokości geograficznej, im bliżej równika tym jest krótszy i nie przekracza czasami kilku minut ale np. za kołem podbiegunowym w lipcu trwa kilka godzin! W grudniu w Polsce trwa łącznie (rano i wieczorem) około 60 min. natomiast w czerwcu około 120 min. Wówczas słońce emituje intensywne światło o złotawo-pomarańczowej, ciepłej tonacji, które przepięknie oświetla fotografowane sceny; najlepiej gdy pada ono zza pleców fotografa lub lekko z boku, bowiem wtedy nasza scena jest oświetlana równomiernie, a słońce będące nisko nad horyzontem tworzy delikatne i długie cienie. Idealny scenariusz na zdjęcia krajobrazowe spełni się również, gdy niebo będzie lekko zachmurzone, intensywne kolory zostaną podkreślone właśnie przez malowniczo oświetlone chmury. Jak wiadomo kolor w fotografii jest niezwykle ważnym narzędziem, a świadomie używany przez autora może dać rewelacyjne efekty.

Środek dnia jest także dobrą porą do fotografowania, ale w miejscach zacienionych, zwłaszcza w lesie, gdy światło przedziera się delikatnie przez gałęzie, a odbijając się od liści, tworzy ciekawą poświatę i całą gamę malowniczych cieni i półcieni. Odmiennym rozwiązaniem może być także fotografowanie w nocy, gdy krajobraz jest oświetlony jasnym blaskiem księżyca. Kilkuminutowa ekspozycja może dać naprawdę zaskakujące efekty. Za to kiedy słońce nie sprzyja, jest wiele tematów fotograficznych, które można realizować w ulewie, mgle czy śnieżycy lub chociażby w pochmurny dzień. Należy wspomnieć, iż przy fotografowaniu opadów deszczu lub śniegu warto zastosować stosunkowo długie czasy ekspozycji ponieważ uzyskane dzięki temu rozmycie spowoduje efekt ruchu i ulotności chwili, tworząc impresjonistyczny obraz.

Chciałabym przypomnieć jeszcze o sposobie budowania naszego obrazu - również i tutaj sprawdzają się zasady trójpodziału oraz umieszczania ważnych elementów kompozycji w mocnych punktach lub na liniach łączących te punkty. Ta zasada stosowana od stuleci przez malarzy sprawdza się również w komponowaniu obrazów fotograficznych. Aby ją rozsądnie zastosować przy wyborze pejzażu do sfotografowania musimy zastanowić się gdzie umieścić linię horyzontu, z założenia nie w połowie kadru, lecz dzieląc go na jedną trzecią i dwie trzecie. Należy, więc, odpowiedzieć sobie na podstawowe pytanie: „W której części naszych zaplanowanych „ram" dzieje się więcej – na ziemi czy na niebie?" Na tę część, w której jest bogatsza akcja czy ciekawsza scena przeznaczamy oczywiście dwie trzecie kadru. Inaczej skadrujemy ten sam krajobraz na przykład o zachodzie słońca, kiedy to na niebie rozgrywa się teatr barw i kształtów, a ziemię już spowija mrok zacierając rysunek, a inaczej w pogodny dzień kiedy to światłocienie podkreślają bogactwo pejzażu, niebo zaś bez jednej chmurki staje się po prostu nudne. Pragnę też wspomnieć o jednym z kardynalnych błędów w fotografii pejzażowej, jakim jest umieszczanie na pierwszym planie zbyt dużo nic nieznaczącej przestrzeni. Istnieje jednak sposób, dzięki któremu nieciekawą scenę zamienimy w dzieło, które przyciągnie uwagę widzów. Wystarczy ulokować w kadrze wyraźny element pierwszego planu. Ciekawy obiekt znajdujący się na pierwszym planie może urozmaicić zdjęcie w wieloraki sposób – to coś więcej niż tylko wypełnianie pustej przestrzeni. Pomoże nadać zdjęciu wrażenia perspektywy i głębi przestrzennej, pokazując odległości między elementami, zaprezentuje kolejne „warstwy" zdjęcia, które prowadzą oko widza. Niestety często w kadrze panuje chaos i nagromadzenie zbędnych elementów, ponieważ autor nie może

zdecydować się, o czym ma mówić jego zdjęcie i nie stosuje nawet najprostszego sposobu uporządkowania kadru. Po raz kolejny przytoczę stwierdzenie: „im mniej, tym więcej” stając po stronie minimalizmu – kadr nie powinien być przegadany, bo często w „barokowej” układance gubi się istota przekazu.

Skoro już wiemy jak poprawnie komponować elementy naszego obrazu wspomnę jeszcze o …. pustce. Oprócz konkretnych obiektów, rolę mocnego punktu kadru może pełnić z powodzeniem również przestrzeń. Na przykład puste niebo, jednolita ściana lasu, czy chociażby zwyczajnie zaorana gleba lub nieciekawa łąka mogą stanowić równoważnię dla innego istotnego elementu znajdującego się w przeciwległej części fotografii. Zdarzają się również przypadki, w których sama przestrzeń jest głównym bohaterem zdjęcia. W takiej sytuacji niewielki obiekt, np. sylwetka myśliwego, przemykająca zwierzyna, pojedynczy barwny listek stanowi wyśmienitą skalę porównawczą, sposób na nadanie zamkniętej na zdjęciu przestrzeni głębi i rozmiarów, wartościując elementy kompozycji. Pustkę w znaczeniu pewnej jednolitej przestrzeni musimy postrzegać jako przedmiot materialny z takimi

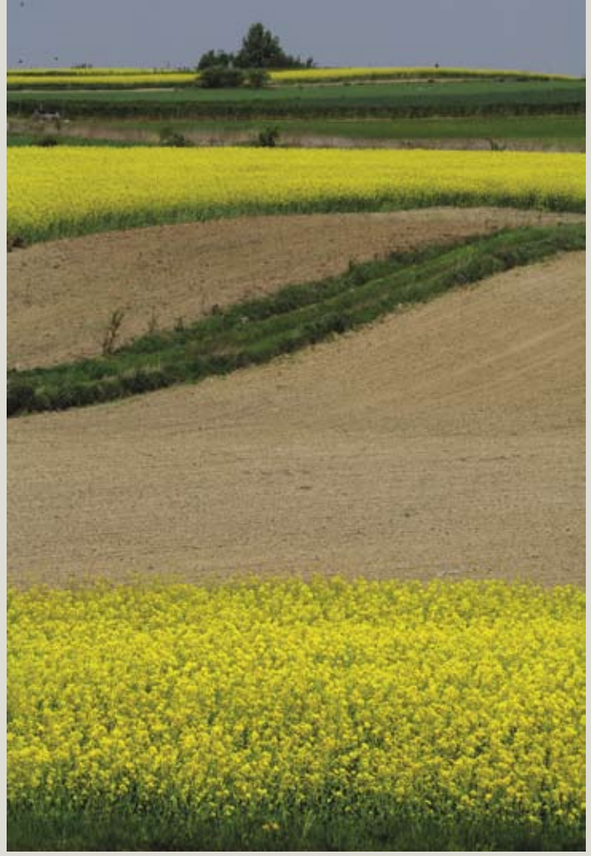

cechami jak kształt, barwa, faktura, jasność czy nasycenie i na podstawie analizy tych obserwacji wkomponować w nasz kadr.

Jak wynika z moich dywagacji fotografowanie przyrody jest zarówno dla cierpliwych, jak i dla niecierpliwych. Tych, którzy chcą szybko zobaczyć efekty swoich poczynań i tych, którzy wolą czekać godzinami na wymarzony obiekt, a to myśliwi akurat potrafią. Ważne są zmysł obserwacji, znajomość terenu i zwyczajów zwierzyny oraz ten odpowiedni, jedyny moment naciśnięcia spustu migawki. Nie jest też prawdą, że jedynie dobry sprzęt stanowi o jakości obrazu fotograficznego. Do fotografowania pejzażu z powodzeniem służyć może każdy aparat fotograficzny, ba nawet dobrej jakości telefon komórkowy czy tablet, a przy lustrzankach nie istotne jaki zastosujemy obiektyw – szerokokątny, tzw. standard czy teleobiektyw; obiektyw posiadający zoom czy stałoogniskowy. W moim przekonaniu poza stroną techniczną liczy się przede wszystkim kompozycja i emocjonalność przekazu. Tak więc, fotografia krajobrazowa to sztuka polegająca na balansowaniu pomiędzy kanonem, a innowacyjnym, indywidualnym podejściem do fotografii. Warto spróbować potraktować temat po swojemu, według własnych ocen, przemyśleń i potrzeby serca. Jeżeli w tej samej przestrzeni znajdzie się kilku fotografów, wierzcie mi, każdy uwieczni co innego, w inny sposób, wykorzystując różny plan i odmienną perspektywę wykazując tym samym własny indywidualizm. Czyli hasło przewodnie moich felietonów: „Świadomie! Róbmy zdjęcia świadomie!” powinno przyświecać zawsze, gdy chcemy nacisnąć spust migawki aparatu fotograficznego, kiedy mamy przekonanie, że warto.

Znam wielu Myśliwych, którzy wychodząc w knieję zawsze zabierają ze sobą aparat fotograficzny. Spytacie po co, przecież na polowaniu nie ma czasu na nic innego. Zdarzają się jednak chwile kiedy odkładamy strzelbę, kiedy warto odpocząć, zadumać się…. Podziwiamy magiczny wschód słońca, kroplę rosy na liściu, lub wyłaniające się z mgły poroże „niezidentyfikowanego obiektu”….. Może właśnie wtedy przyda się aparat fotograficzny, może wtedy powstanie Wasze zdjęcie życia. Obraz, który stanie się ozdobą i dopełnieniem zbioru trofeów, może tłem dla myśliwskich portretów, a może dyskretnym wspomnieniem ulotnej chwili.

Pamiętajcie: każdy „landszaft” będzie piękny, jeżeli wiążą się z nim Wasze łowieckie przeżycia. Niech Wam, zatem, Święty Hubert darzy nie tylko bogactwem wszelakich darów lasu ze zwierzyną na czele, ale również zatrzymanymi w trafnych kadrach niezapomnianymi chwilami spędzonymi w gronie Przyjaciół na łonie naszej pięknej Natury.

Magda Langer to pseudonim artystyczny Magdaleny Wilkońskiej - Klimszy. Mgr inż. entomolog, ukończyła studia podyplomowe
z zakresu łowiectwa. Dyplomowany fotograf i wykładowca fotografii. Wiceprezes Krakowskiego Klubu Fotograficznego.
Posiada tytuł Artysty Fotografa RP.

O pięknej i mądrej kobiecie, której pasją było polowanie i wędkarstwo:

Marii z Fredrów Szembekowej

WALDEMAR SMOLSKI

Od samego początku istnienia ludzkości w polowaniach na zwierzęta dziko żyjące, obok mężczyzn, udział brały również kobiety. Tak było i w kolejnych wiekach. Polowały królowe, księżne, hrabianki, żony i córki polityków, oficerów, etc.. W okresie międzywojennym tj. w latach 1918-1939 swój znaczący ślad w historii polskiego łowiectwa pozostawiły licznie polujące Panie, m. innymi: Zofia Chomętowska, Maria i Izabela Niezabytowskie, Wanda Komarowa (matka naszego olimpijczyka Władysława Komara), p. Pusłowska zd. Mohl, Róża Lubomirska, Nina Grudzińska, Danuta Gorzeńska Ostrorożyna, Aleksandra, Teresa i Krystyna Zamoyskie, Aleksandra i Maria Kiwerskie oraz bohaterka tego artykułu Maria z Fredrów Szembekowa. Ukochana wnuczka Aleksandra Fredry, nazywana przez autora „Ślubów *Panieńskich"* Mimi, urodziła się w dworku dziadka na lwowskiej Chorążczyźnie 5 stycznia 1862 r. jako córka Jana Aleksandra Fredro i Marii z Mierów, która zmarła tuż po porodzie.

W dworku dziadka Maria spędziła czternaście lat. Po śmierci dziadka (15 lipca 1876r.) dworek opustoszał. Babcia Zofia przeniosła się do swojej córki Zofii Szeptyckiej w Przyłbicach, a ona wraz z ojcem Janem Aleksandrem zamieszkała w rodowej posiadłości Fredrów w Beńkowej Wiszni pod Samborem. Maria pokochała Beńkową Wisznię, jak zresztą wszystko, co łączyło się z osobą najdroższego dziadka: konie, strzelby, polowania, napoleońskie pamiątki, a nade wszystko ów dom mieszczący tyle śladów życia poprzednich pokoleń oraz przepiękny ogród. Najbardziej lubiła, gdy był z nią ojciec i starszy o trzy lata brat Andrzej Maksymilian (1859-1898). Ale nawet wtedy, gdy ojciec bawił za granicą lub na kilkudniowych polowaniach u hrabiego Dzieduszyckiego, a brat, którego nazywano Runio uczył się w szkole wojskowej w Wiedniu, Beńkowa Wisznia i tak ofiarowała jej mnóstwo atrakcji, tak, że nigdy się tu nie nudziła. Godzinami łowiła ryby, pływała czółnem, dosiadała dobrze ułożonego konia o egzotycznym imieniu Effendi czy też zaliczała pierwsze sukcesy w polowaniu na ptactwo.Tam również zgłębiała sztukę gotowania, wczytując się w specjalnie dla niej przywiezioną ze Lwowa książkę kucharską Ćwierciakiewiczowej i urządzała dla znajomych z okolicy pierwsze w życiu przyjęcia.Spędzony tam czas po latach tak wspominała:

„w zbudowanej przez dziadka posiadłości, wśród rozlicznych pamiątek, starych przedmiotów i ojcowskich opowieści z Wiosny Ludów, spędziłam najszczęśliwszy okres mojej młodości".

Swojego przyszłego męża, 19-letnia Maria z Fredrów, Piotra Szembeka hrabiego z Siemianic k. Kępna, poznała podczas balu karnawałowego w 1881 roku we Lwowie, na który zabrał ją ojciec. Piotr nie był kawalerem pierwszej młodości miał wówczas 38 lat, ale swym wyglądem urzekł wnuczkę Fredry. Zobaczywszy przystojnego Wielkopolanina, miała rzec do ojca: *„to będzie mój mąż"*. Oczarowanie było wzajemne. Tego samego roku, jeszcze w czasie karnawału odbyły się zaręczyny, a 2 czerwca 1882 roku ślub i huczne wesele we Lwowie. Jako hrabia Piotr Szembek nie był w Galicji znany, rodzina Fredrów musiała zasięgnąć o nim opinii jeszcze przed ślubem. Trzydziestoośmioletni kandydat okazał się poważnym członkiem rodziny ze świetną tradycją. W jego rodzie znalazł się generał powstania listopadowego – Piotr Szembek (1788-1866) Kawaler Legii Honorowej oraz Prymas Polski - Stanisław Szembek (1650 - 1721). Ponadto Hrabia był właścicielem majątku i pięknego pałacu w Siemianicach k. Kępna.

Maria Fredro - zdjęcie z roku 1880

Jeszcze w narzeczeństwie Maria Fredro zawarła z przyszłym mężem Piotrem Szembekiem dżentelmeńską umowę. Ona pozwoliła mu palić tytoń, on pisać jej wiersze... i polować. Po ślubie z końcem czerwca 1882 r. Maria opuściła na zawsze Beńkową Wisznię i zamieszkała w pałacu męża w Siemianicach. Stanowili podobno dobraną parę, mimo różnicy wieku (19 lat) i charakterów, ona - żywiołowa, energiczna i ambitna, on - delikatny, opanowany i tolerancyj-

Andrzej Fredro-brat Marii, Piotr Szembek i Maria. Zdjęcie z 1888 r.

ny. Maria urodziła trójkę dzieci- dwie córki: Jadwigę (1883 - 1939), etnografkę i archeolożkę, Zofię (1885 - 1974) zakonnicę, archeolożkę, etnografkę i nauczycielkę oraz syna Aleksandra (1886 -1928), delegata do Sejmu Dzielnicowego w Poznaniu, komisarza wyznaczonego przez Komisję Ententy na polskiego komisarza do ustalenia powojennej granicy z Niemcami, radcę ambasady polskiej w Paryżu, gdzie przedwcześnie zmarł w wyniku udaru, 2 lutego 1928 r. Idyllę rodzinną w Siemianicach, przerwała nagła śmierć Piotra Szembeka, 15 maja 1896 r. Maria miała wtedy 34 lata, musiała zająć się wychowaniem dzieci oraz zarządzaniem dużym majątkiem sama i postanowiła, że nigdy nie wyjdzie już za mąż. Za główny cel wyznaczyła sobie staranne wykształcenie dzieci, co zrealizowała z naddatkiem. Inspirowała i patronowała również ich młodzieńczym przedsięwzięciom patriotycznym. W założonej w okresie zaborów w pałacu przez córki tajnej szkole polskiej uczono dzieci z kręgu rodziny i znajomych oraz okolicznych wsi języka polskiego, polskiej literatury i historii. Maria fundowała stypendia i nagrody dla najlepszych uczniów i uczennic, kupowała książki do biblioteki. Podobno należała do grona osób, które najhojniej wsparły materialnie powstanie wielkopolskie. Podczas zrywu przesyłała tajne meldunki dotyczące ruchów wojsk niemieckich, a podczas powstań i plebiscytów śląskich odegrała poważną rolę agitując w sprawie polskiej. Po dziadku i swoim ojcu odziedziczyła talent poetycki. Maria w ciągu swojego życia tworzyła szkice biograficzne, fraszki, gawędy, nowele. Czy debiutowała w panieńskich latach – nie wiadomo. Pod pseudonimem M. z Pleszowic ukazał jej się pierwszy tomik „Wiersze ulotne"(1887). Drugi tomik nazywał się „W błędnym kole" (1916), kolejne: „Rozkołysany dzwon" (1920), zbiór fraszek „Ku rozweseleniu ducha" (1920). Maria Szembekowa była również autorką szkicu biograficznego o swoim teściu „Generał Piotr Szembek" (1902), cykl nowel „Na jawie i śnie" (1903), książki wspomnieniowej „Niegdyś...Wspomnienia moje o Aleksandrze Fredrze" (1927) oraz powieści dla dzieci „Same tajemnice" (1932). Napisała również dramat pt. „Pogrzeb"(1919). Sporą część tego, co pisała drukowała w różnych czasopismach m. innymi: w lwowskim

Maria z synem Aleksandrem na polowaniu

Hol myśliwski na piętrze pałacu w Siemianicach. Zdjęcie z 1930 r.

„Dzienniku Polskim", krakowskim „Dzienniku" czy „Dzienniku Poznańskim".

Pasją Marii było polowanie i wędkarstwo. Pozyskała ponad **800 rogaczy**, kilkanaście byków i niezliczoną ilość zwierzyny drobnej. Swoją pasją zaraziła syna Aleksandra, którego często zabierała na polowania. Zachowane zdjęcia zadowolonej Mimi ze strzelbą i wędką, dopełniają obraz zaangażowanej społecznie hrabiny, walczącej z germanizacją poetki, obrończyni wartości narodowych i szlacheckich, a równoważą go również takie utwory, jak na przykład „Wolność" opublikowany w *Wierszach ulotnych*

Maria Szembekowa nad swym pozyskanym 800 rogaczem - 1934

„Idąc przez cichą, samotną drożynę,
Pięknego jednego poranka.
Ujrzałam w dali młodziuchną dziewczynę.
I tejże młodego kochanka.

On ją całował, przyciskał do łona,
Powtarzał przysięgi, zwierzenia:
Ona słuchała, radosna, spłoniona,
Wymowna śród swego milczenia."

Siedemdziesiąte piąte urodziny obchodzić miała u córki Jadwigi w Przyłbicach. Zgodnie ze zwyczajem spędziła tam święta Bożego Narodzenia oraz Nowy Rok. W ramach przygotowań do jubileuszu uczestniczyła w próbie generalnej okolicznościowego przedstawienia, sztuki alegorycznej... o upływającym czasie... autorstwa wnuczki - Anny Szeptyckiej. Do premiery przedsta-

Maria Szembek na rybach Siemianice - 1932

wienia nie dotrwała. Zmarła nagle o drugiej w nocy z 4 na 5 stycznia 1937 r. Spoczęła w Siemianicach, w tamtejszej kaplicy, obok męża Piotra Szembeka i przedwcześnie zmarłego syna, Aleksandra.

Kończąc ten artykuł o wielkiej Polce Marii z Fredrów Szembekowej, chcę podkreślić, że na niej nie skończyła się era polujących kobiet. Dzisiaj Polski Związek Łowiecki zrzesza kilka tysięcy wspaniałych kobiet *(wg. danych na koniec roku 2020 w PZŁ zrzeszonych było ponad* 4200 *kobiet w tym: w okręgu krakowskim* 94*)*, które życie rodzinne i zawodowe, a niejednokrotnie działalnością polityczną i społeczną, doskonale łączą z łowiecką pasją.

Większość unikatowych zdjęć pochodzi z „Archiwum Szeptyckich. Własność Fundacji Rodu Szeptyckich". Za udostępnienie tych zdjęć, serdecznie dziękuję panu Maciejowi Szeptyckiemu z Fundacji Rodu Szeptyckich.

Waldemar Smolski
inż. leśnik, dokumentalista łowiecki, znawca historii zorganizowanego łowiectwa na ziemiach polskich, autor książek, redaktor wielu artykułów z dziedziny łowieckiej. Wykładowca akademicki, lektor i wykładowca PZŁ z dziedziny kultura łowiecka.

Pałac w Siemianicach - zdjęcie z 2019 r.

Maria z dziećmi. Zdjęcie z 1910 r.

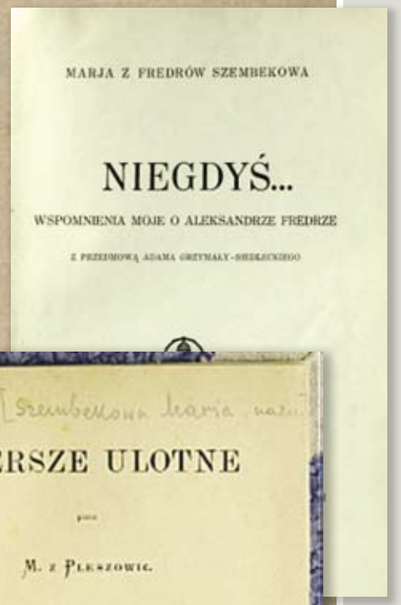

MARJA Z FREDRÓW SZEMBEKOWA

NIEGDYŚ...

WSPOMNIENIA MÓJE O ALEKSANDRZE FREDRZE

Z PRZEDMOWĄ ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO

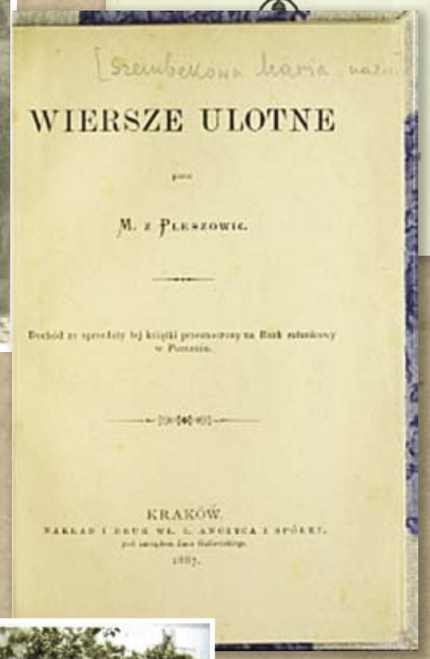

WIERSZE ULOTNE

M. z Pleszowic

KRAKÓW.

Maria Szembek z upolowanym jeleniem - Siemianice 1907

Kilka słów o ekslibrisie – jego historii, właścicielach i twórcach oraz kolekcjonerach

Ryszard Marian Wagner

Ekslibris (z łac.: *ex libris* – z książek, z księgozbioru) jest tzw. małą formą graficzną, wykonaną w którejś z technik tej dziedziny sztuki, np. drzeworyt, miedzioryt, akwaforta, litografia, i przeznaczoną do wklejenia na wewnętrzną stronę okładki książki. Ekslibrisy tworzy się w celu podniesienia walorów artystycznych woluminu, podkreślenia duchowej i estetycznej kultury bibliofila. Ich funkcją jest również zabezpieczenie książki prywatnego lub instytucjonalnego właściciela przed przywłaszczeniem i kradzieżą. Są artystycznymi tworami wyobraźni i talentu twórcy, jego zrozumienia i interpretacji dla sugestii lub wymagań bibliofila zamawiającego takie dzieła. Wyrażone „językiem graficznym" (lub rzadziej: typograficznym), w przeważającej części ukazują motyw lub scenę związaną z biblioteką lub indywidualnym kolekcjonerem, który jest właścicielem ksiąg oznaczanych ekslibrisami. Niejednokrotnie są też odzwierciedleniem ich osobowości, obsesji i lęków, rozumianych jako najgłębsze „zakamarki" ich duszy. W ciągu XIX-XXI w. ekslibrisy stały się również obiektami kolekcjonerskimi, funkcjonującymi w oderwaniu od książki. Stały się autonomicznymi dziełami sztuki o nierzadko dużej wartości artystycznej, pożądanymi przez kolekcjonerów – bibliofilów.

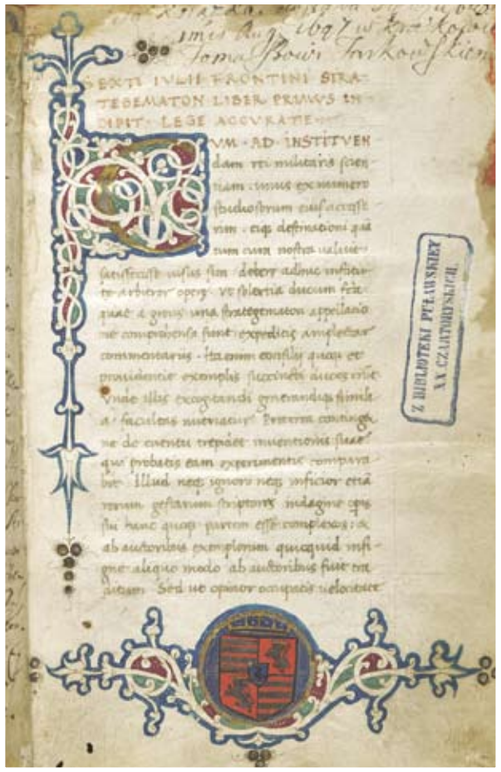

Protoekslibris króla Macieja Korwina Florencja 1467 Biblioteka Czartoryskich

„Kolekcjonerstwo to nałóg, budzący podziw i szacunek, Przypomina ni pasję myśliwego, dla którego, tropienie jest tak samo ważne jak upolowanie zwierzyny. Zbieranie ex librisów to szczególna przygoda, fikcyjna podróż w czasie i przestrzeni, wtargnięcie do nieznanych księgozbiorów, uchylenie drzwi do dawno rozproszonych bibliotek, czasem możliwość wyczucia intymnego stosunku czytelnika do książki".

Stanisł*aw Hebanowski (1)*

W kulturze europejskiej przyjmuje się, że historia oznaczania znakami własnościowymi rękopisów sięga do starożytnego Egiptu, gdzie już około 1400 r .p .n. e. fajansowe tabliczki z naniesionymi informacjami identyfikacyjnymi dołączano do tekstów na zwojach papirusowych. W Europie zwyczaj oznaczania ksiąg znakami własnościowymi, zwanymi protoekslibisami, pojawił się w XIII w. Przeważnie były to iluminowane (czyli malowane i złocone) herby rodowe, wplecione w okalającą tekst bordiurę (dekoracyjne obramowanie), zazwyczaj na dolnym marginesie pierwszej strony tekstu. Ten sposób oznakowania rękopisów przeniknął z Zachodniej Europy do Królestwa Polskiego. Za najstarszy iluminowany znak własnościowy w Polsce, uznaje się herb Bogoria, umieszczony na odwrocie pierwszej karty pergaminowej Biblii z 1373 roku, będącej własnością arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jarosława Bogoria Skotnickiego. Obecnie znajduje się w zbiorach Archiwum Archidiecezjalnego w Gnieźnie.

W drugiej połowie XIV wieku, obok iluminowanych protoekslibrisów pojawiły się tzw. superekslibrisy. Były to wytłoczone na okładzinie ksiąg herby, gmerki, monogramy, względnie inne symboliczne znaki właściciela księgi. Niegdyś uważano, że pierwsze superekslibrisy w Polsce pojawiły się na księgach fundowanych przez Kazimierza Wielkiego. Obecnie czas ich pojawienia się w naszym kraju przesuwa się na około połowę XV w. Niemal wszystkie najstarsze księgoznaki tego rodzaju były związane z elitami intelektualnymi Krakowa.

Wraz z rozwojem drukarstwa w drugiej połowie XV wieku następował rozkwit sztuki graficznej, pozwalającej na wielokrotne odbijanie z jednego klocka drzeworytniczego, względnie płytki miedziorytniczej, odbitek. Należały do nich również pierwsze ekslibrisy.

Przyjmuje się, że najstarsze w Europie ekslibrisy graficzne wykonano techniką drzeworytniczą w latach 70-80 XV wieku (niekiedy czas ten przesuwa się nawet na około połowę XV stulecia). Jeden z nich należał do Johannesa Knabensberga, zwanego również Hansem Iglerem.

Ekslibris Hansa Iglera, Niemcy, powstanie datowane na lata 1470 – 80

Superekslibris Jerzego Ossolińskiego, prawdopodobnie Lwów po 1644 roku, ONB, www.polona.pl (Biblioteka Narodowa).

Księgoznak ten zawiera dowcipny tekst wykorzystujący grę słów: „Hans Igler das dich en Igel buss" (Hans Jeżowy przestrzega, że może cię pocałować jeż) – ostrzegający potencjalnego złodzieja księgi o konsekwencjach jakie go czekają, za popełniony czyn. Drugi z kolei, to ręcznie kolorowany akwarelą drzeworytniczy ekslibris donacyjny mnicha Hildebranda Brandenburga, przedstawiający anioła trzymającego tarczę herbową z godłem herbowym donatora. Odbitce ryciny towarzyszy ręcznie zapisana prośba o modlitwę za bibliofila.

W związku z dynamicznym rozwojem drukarstwa w XVI wieku nastąpiło też spopularyzowanie ekslibrisu. Jednocześnie zamierało oznaczanie manuskryptów i druków iluminowanymi protoekslibrisami.

Ekslibris Hildebranda Brandenburga, Niemcy, powstanie datowane na lata 1470 – 80

Ekslibris bpa Macieja Drzewickiego Hieronim Wietor, Wiedeń. 1516 r. wg XIX w. kopii z kolekcji R.M. Wagnera

Twórcami ekslibrisów było wielu wybitnych twórców, w tym Albrecht Dürer, Lucas Cranach, Hans Holbein młodszy i Virgil Solis.

Najstarszy polski ekslibris wykonano w 1516 roku dla biskupa włocławskiego Macieja Drzewickiego herbu Ciołek, późniejszego kanclerza wielkiego koronnego, dyplomaty, arcybiskupa i prymasa Polski. Dzieło to wykonano w technice drzeworytu z napisem odbitym z czcionek drukarskich. Powstało w Wiedniu, w pracowni Hieronima Wietora, w późniejszych latach właściciela warsztatu drukarskiego w Krakowie.

W XVII stuleciu kontynuowano tradycję oznaczania ksiąg graficznymi ekslibrisami, nierzadko stosowanymi razem z superekslibrisami. Jednakże dokonała się zmiana w preferowanych technikach graficznych: zamiast dotychczas dominującego drzeworytu, coraz popularniejszy stawał się szlachetniejszy miedzioryt. Pozwalał on na ukazywanie znacznie drobniejszych i delikatniejszych niż w drzeworycie detali kompozycyjnych. Dowodem na to mogą być okazałe, miedziorytowe sztychy z herbami Chodkiewiczów oraz Daniłłowiczów, identyfikowane jako ekslibrisy bądź inne, okolicznościowe grafiki. Ich autorem był wybitny polski rytownik, Jan Ziarnko. Twórca ten zasłynął w pierwszej połowie XVII wieku dziełami tworzonymi w Paryżu pod nazwiskiem Jean Le Grain.

W XVIII w. w Europie nastąpił dalszy rozwój zjawiska bibliofilstwa. W ówczesnej Polsce, mimo wszelkich problemów politycznych i kulturowych czasów saskich i stanisławowskich, w powstały imponujące książnice jak Biblioteka Załuskich w Warszawie czy biblioteka króla Stanisława Poniatowskiego. Wówczas też ekslibrisy dla bibliotek polskiej arystokracji wykonywali znakomici, formatu europejskiego graficy: Jan Fryderyk Mylius i Jan Weiss. W Gdańsku, a potem w Berlinie, tworzył też inny Polak – Daniel Chodowiecki, znany m.in. z urodziwego ekslibrisu tzw. własnego. Obok tradycyjnego nurtu tematycznego – heraldyki, do księgoznaków coraz częściej wprowadzano sceny rodzajowe, alegoryczne czy motywy wnętrz bibliotecznych. W wieku tym w zachodnioeuropejskiej ikonografii heraldycznej, dotychczas ujętej w sztywne reguły norm w przedstawianiu elementów ozdobnych herbu – labrów, podpór i trzymaczy tarczowych nastąpiło rozluźnienie nakazów. Prawdopodobnie, wiele ekslibrisów heraldycznych, w których tzw. trzymaczami, względnie podporami tarcz lub kartuszy herbowych są zwierzęta łowne bądź psy łowieckie, należało do pasjonatów łowiectwa. Jako przykład może służyć księgoznak wykonany techniką graficzną miedziorytu w XVIII w., dla markiza de Sainte Croix, w którym dwa łowieckie psy gończe pełnią funkcję podpór kartusza herbowego.

British Muzeum, repr. wg Vengris 1980 r. Ekslibris Chodkiewiczów Jan Ziarnko, około 1619 r.

Ex libris Markiza de Saint Croix N.N. miedzioryt,1 połowa XVIII w. Z kolekcji R. M. Wagnera

Przypisy

1) S. Hebanowski, Wstęp [w:] Teatr i ludzie teatru w ekslibrisie polskim, Kalisz, 1968
2) A. Wagner, Superekslibris polski, Toruń 2016, s. 503

Opracowując pierwszą część artykułu posiłkowałem się swoim felietonem „Ekslibris z motywem łowieckim w kulturze europejskiej - na przykładzie wybranych księgoznaków", opublikowanym w 2013 roku przez Ośrodek Kultury Leśnej w Gołuchowie, w 12 numerze rocznika „ Studia i materiały Ośrodka Kultury Leśnej"

Ryszard Marian Wagner
Leśnik, myśliwy, kolekcjoner –bibliofil, publicysta. Wyróżniony Kordelasem Leśnika Polskiego, odznaczony Medalem Św. Huberta. Okręg PZŁ w Poznaniu

fot.Rafał Łapiński

Na tropie europejskiej antylopy
czyli słów kilka o sarnie polnej

Marek Wajdzik

Zmiany jakie zaszły w ostatnim półwieczu w ekosystemach polnych wywarły znaczny wpływ na skład gatunkowy i liczebność bytujących tam zwierząt. Wzrost udziału plantacji wielkoobszarowych, mechanizacja prac polowych czy chemizacja środowiska w znaczący sposób ograniczyły występowanie wielu gatunków zwierzyny. W większości łowisk polnych zdecydowanie obniżyła się liczebność bażanta, kuropatwy oraz zająca szaraka, „szablonowych" gatunków „otwartego krajobrazu". W tej „epoce" ogólnego regresu znalazł się jednak gatunek, preferujący strefę ekotonu, a więc pogranicze lasu i pól, który wykazuje wyraźną tendencję do zajmowania terenów „czysto" polnych. Mowa o ekotypie sarny polnej, który jak powszechnie się uznaje po raz pierwszy pojawił się na polach Wielkopolski na przełomie XIX i XX wieku co zostało odnotowane w szkicu łowieckim gatunku z 1929 roku autorstwa Schechtela. Niemniej jednak należy pamiętać, że już pod koniec XVIII wieku Gabriel Rzączyński w swym dziele *Auctuarium historiae naturalis Regni Poloniae* podaje informację, że „na stepach Janczarych widywano je w stadach (mowa o sarnach) po 100 i więcej osobników, a na stepach kijowszczyzny nawet i po 300 egzemplarzy" co dobitnie wskazuje, że powstanie ekotypu jest znacznie wcześniejsze niż powszechnie sądzono.

Sarny ekotypu polnego nie należy mylić z sarną, która ma swoją ostoję w lesie, a tylko regularnie wychodzi na pola uprawne w poszukiwaniu żeru lub nawet na kilka miesięcy opuszcza tereny leśne. Sarny polne to te, które na stałe występują na terenach otwartych i wręcz unikają zwartych kompleksów leśnych i nawet zimą przy zalęgającej pokrywie śnieżnej tam egzystują.

Środowisko i zwyczaje

Sarna polna występuje na rozległych polach uprawnych o dobrej glebie i wysokim poziomie kultury rolnej. Ze względu na większy spokój (szczególnie w okresie wegetacyjnym) preferuje uprawy wielkołanowe, lecz nie stroni również od mozaiki niewielkich pól uprawnych. Niemal niezbędnym warunkiem do jej egzystowania jest występowanie wśród pól licznych śródpolnych zadrzewień i zakrzewień w postaci remiz, pasów drzew, zaniedbanych rowów melioracyjnych, które to stanowią schronienie w okresie zimy. Takie warunki do swej egzystencji znalazła sarna polna głównie na zachodzie naszego kraju (w Wielkopolsce, na Pomorzu i Dolnym Śląsku oraz w południowej Opolszczyźnie) gdzie jej liczebność jest też największa. Poza zachodnią Polską spotykana jest w wielu polnych łowiskach lecz zazwyczaj w mniejszej liczebności.

Wyraźną cechą przystosowawcza do bytowania na otwartych przestrzeniach jest okresowy stadny tryb życia. W odróżnieniu od sarny leśnej, która w okresie zimowym żyje pojedynczo lub tworzy małe, kilku osobnikowe rudle, jej kuzynka tworzy stada liczące po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt osobników. W okresie wyjątkowo śnieżnych i mroźnych zim nierzadko spotykano również rudle w skład których wchodziło ponad 100 saren. Najprawdopodobniej należy to wiązać z faktem, że w grupie łatwiej zdobywać pokarm do którego dostać się można wyłącznie poprzez mozolne odgarnianie śniegu z ozimin lub nawet kopców z kiszonką.

Pierwsze większe zgrupowania saren polnych obserwuje się już na przełomie sierpnia i września kiedy bytują głównie na wielkopowierzchniowych ścierniskach gwarantujących im doskonała bazę żerową. Dalsze formowanie się stad występuje w drugiej połowie września gdy na polach trwają intensywne prace przy wykopkach ziemniaków i buraków oraz zbiorze kukurydzy na kiszonkę, co zmusza sarny do grupowania się w terenach gdzie panuje względny spokój. Takie pierwsze rudle zwane „stadami przymusowymi" nie wykazują żadnej organizacji wewnętrznej i po ustaniu prac polowych zazwyczaj się rozpadają. Wkrótce jednak na skutek pogarszania się warunków pogodowych (przymrozki, opady śniegu itp.) i brak osłony na polach sarny łącza się w rudle zimowe.

Obserwując takie stada saren można łatwo zauważyć, że ich sposób zachowania jest zbliżony do stepowych zwierząt kopytnych prowadzących życie gromadne. Podczas odpoczynku w czasie dnia przynajmniej jeden osobnik pozostaje w pozycji stojącej, bacznie się rozglądając czuwa nad bezpieczeństwem całego rudla. Bardzo często taki „wartownik" w celu zwiększenia pola obserwacji wchodzi na znajdujące się w pobliżu stogi, kopce lub wzniesienia. Stado zresztą wybierając miejsce odpoczynku wybiera taki teren, który gwarantuje możliwość obserwacji całej okolicy.

W przypadku zbliżającego się niebezpieczeństwa, osobnik czuwający daje o tym znać rzucając się do ucieczki. Wówczas wszystkie odpoczywające sarny podrywają się, a prze-

fot.Rafał Łapiński

wodnik ocenia sytuację i decyduje o kierunku ucieczki. Nieraz po nagłym alarmie cały rudel ucieka bezładnie, ale już po kilkudziesięciu metrach na czoło wysuwa się przewodnik, który po ocenie sytuacji obiera kierunek dalszej ucieczki.

Przewodnikiem w rudlu zimowym jest zazwyczaj starsza lub średniowiekowa koza, która w odróżnieniu od licówki (jelenia szlachetnego) nie zawsze posiada tegoroczne potomstwo. Zauważono również, że w niektórych rudlach, lecz były to odosobnione przypadki funkcję przewodnika „piastowały" młode rogacze w wieku 2 - 3 lat.

Wielkość areału poszczególnych stad to zazwyczaj 100 – 200 ha i jest ona zależna od liczebności rudla, konfiguracji terenu lecz przede wszystkim od liczby żerowisk i stopnia pokrycia terenu naturalnymi osłonami.

Rudle zimowe rozpadają się z nastaniem wiosny i aż do końca lata wszystkie osobniki prowadzą indywidualny tryb życia (oczywiście kozy z potomstwem), podobnie jak to ma miejsce u saren leśnych.

Jakość osobnicza

Oceniając jakość osobnicza zwierząt dziko żyjących najczęściej czynimy to na podstawie masy i (lub) rozmiarów ciała (w tym także czaszek), a także stanu zdrowia. Z kolei w przypadku choćby samców zwierzyny płowej miernikiem takim mogą być: masa i wymiary noszonego oręża.

Porównując masę tuszy pozyskanych rogaczy obu ekotypów okazuje się, że sarna polna jest wyraźnie roślejsza. Na Opolszczyźnie gdzie porównywano dwie lokalne populacje z okolic Paczkowa (s. polna) i Namysłowa (s. leśna) różnice w masie tuszy wahały się od 20% u kozłów czteroletnich do blisko 40% u kozłów w 6 roku życia. Przeciętna masa tuszy u rogacza z łowiska leśnego wynosiła 13,4 kg, a z łowiska polnego 17 kg. Podobne wyniki uzyskano w Wielkopolsce gdzie sarny polne z okolic Czempinia były średnio o 2,5 kg cięższe niż sarny leśne z niedalekiej Zielonki. Z kolei prowadząc badania w okręgu krakowskim dowiedziono, że sarny polne są średnio cięższe o 1,6 kg, a w zależności od wieku różnice te wahały się od 1,3 do 1,8 kg (ryc. 1).

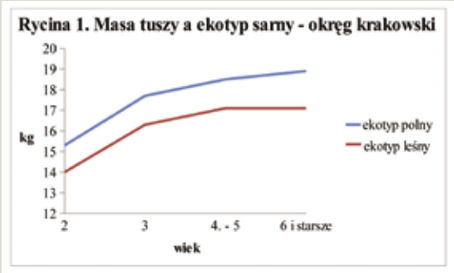

Jeśli chodzi o parostki rogaczy obu omawianych ekotypów, to sarna polna odznacza się zdecydowanie mocniejszymi trofeami od sarny leśnej i to zarówno pod względem ich

masy jak i wysokości. Dla przykładu na Opolszczyźnie parostki sarny polnej były średnio o 20% cięższe, a różnica w zależności od wieku rogaczy wahała się od 28 gram u osobników dwuletnich do około 90 gram u sześcioletnich. Z kolei w przypadku wysokości parostków różnica sięgała średnio 30% oczywiście na korzyść sarny polnej. Dysproporcje w masie nakładanego poroża potwierdzono również w okręgu krakowskim, gdzie sarny polne nakładały parostki średnio o 54 g cięższe, a różnice wahały się od 27 g u rogaczy dwuletnich do nawet 66 gram u osobników najstarszych (ryc. 2). Wśród rogaczy ekotypu polnego również zdecydowanie częściej odstrzeliwane były osobniki medalowe (co 20 był medalowy, u sarny leśnej co 100).

Podsumowanie

Fenomen ekotypu polnego, przebywającego przez całe życie na otwartych polach na pewno warto bacznie obserwować i badać. Czy różnice w zachowaniu, a także w wymiarach obu form będą się utrwalać i pogłębiać? Czy wytworzyła się między nimi trwała izolacja rozrodcza? Wreszcie – czy istniejące różnice w masie i wymiarach ciała oraz poroża wynikają tylko z różnic w jakości bazy pokarmowej lub innych czynników środowiskowych, czy też może w jakimś stopniu zapisały się w genach?

Na pewno na te pytania warto poszukiwać odpowiedzi.

Marek Wajdzik

fot.Sławomir Pawlikowski

fot.Rafał Łapiński

O ptactwie wodnym inaczej

Henryk Okarma

rys. Hubert Zwinczak

15 sierpnia rozpoczyna się sezon polowań na kaczki, co znów wywoła gorące kontrowersje w mediach społecznościowych. Od kilku lat organizacje zajmujące się ochroną przyrody i dobrostanem zwierząt występują z postulatami o wstrzymanie polowań na dzikie ptaki. W 2019 roku Polski Komitet Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody (IUCN) wezwał Ministerstwo Środowiska do natychmiastowego wstrzymania polowań i objęcia ochroną czterech gatunków: głowienki, czernicy, cyraneczki i łyski. Jeszcze dalej posunęła się w 2020 r. Koalicja Niech Żyją zrzeszająca kilkadziesiąt mniejszych i większych organizacji, która zażądała wprowadzenia 5-letniego moratorium na polowanie na wszystkie 13 gatunków ptaków znajdujących się u nas na liście gatunków łownych.

Organizacje te krytycznie oceniają wpływ polowań na dzikie ptaki wskazując na cztery zasadnicze problemy:

- zabijanie gatunków, które powinny być objęte ochroną, gdyż ich populacje silnie maleją;
- niepotrzebne zabijanie żywych istot bez żadnego uzasadnienia ekonomicznego ani przyrodniczego;
- degradację środowiska naturalnego, zwłaszcza wrażliwych i cennych przyrodniczo obszarów wodno-błotnych;
- utratę zysków z turystyki ptasiej, na czym tracą lokalne społeczności i państwo.

Bez względu na to, czy podzielamy, chociaż częściowo takie postulaty, niewątpliwie formułowane przez przeciwników myśliwych, których celem jest wyrugowanie polowań z przestrzeni publicznej, powinniśmy poznać jakimi argumentami się oni posługują. Szczególnie ważne są twarde fakty biologiczne na temat trendów liczebności dotyczące trzech gatunków kaczek: głowienki, czernicy, cyraneczki oraz łyski.

Głowienka

Głowienka występuje w Polsce w nizinnej części kraju, unika obszarów podgórskich i górskich. Kaczki te zamieszkują zbiorniki wodne prawie wszystkich typów, a także zalewowe doliny rzek. Gatunek wykazywał wzrost liczebności i ekspansję terytorialną do drugiej połowy XX wieku. Jednak na przestrzeni dwóch ostatnich dekad notuje się silny spadek liczebności sięgający 10% rocznie. Wielkość populacji krajowej szacowana jest na 2–11 tys. par, jednak niepewność tych oszacowań jest znaczna.

Duży spadek liczebności polskiej populacji głowienki wpisuje się w trwający od dawna podobny trend na całym kontynencie. Za główne przyczyny zmian liczebności w Polsce uważa się m.in. nasilenie drapieżnictwa ze strony ssaków, przekładające się na zanik kolonii mew (głównie śmieszki), w których kaczki te chętnie gniazdują, korzystając z dodatkowej ochrony przed drapieżnikami. Głowienka jest klasyfikowana przez Międzynarodową Unię Ochrony Przyrody (IUCN) jako gatunek zagrożony wyginięciem.

Głowienki zimują w całej Polsce, choć zdecydowanie częściej w zachodniej części kraju. Trend liczebności regionalnej populacji głowienki (północno-wschodnia/północno-zachodnia Europa) określono jako znacząco spadkowy, a jej liczebność szacuje się na około 200 tys. osobników).

Czernica

Czernica występuje na niżu w całym kraju z pominięciem obszarów podgórskich i górskich. Kaczki te zamieszkują różnorodne zbiorniki wodne, także stawy rybne i zbiorniki zaporowe. Czernica skolonizowała obszar Polski pod koniec XIX w., a ekspansja i wzrost liczebności gatunku trwały do lat 90. XX wieku. Podobnie jak w przypadku głowienki, na przestrzeni dwóch ostatnich dekad notuje się silny spadek liczebności. Wielkość populacji krajowej szacowana jest na 2–8 tys. par. Główne przyczyny zmniejszania się populacji są takie same jak dla głowienki. Gwałtowny spadek polskiej populacji czernicy odbiega od trendu dla całej Europy, gdzie gatunek jest uznawany za stabilny.

Wydaje się, że istnieją znaczne wahania liczebności tego gatunku, co utrudnia ocenę długoletnich trendów populacyjnych. Ponadto, na uzyskiwane wyniki wpływa niska precyzja oszacowań (podobnie jak dla głowienki) wynikająca z małego rozpowszechnienia i wykrywalności gatunku.

W okresie zimowym czernice spotykane są głównie na północy kraju, a ich liczebność podlega znacznym fluktuacjom. Czernice zimujące w Polsce należą do populacji północno-zachodnio-europejskiej o liczebności od 800 tys. do 1 mln osobników. Długoterminowy trend liczebności tej populacji określono jako silnie spadkowy.

Cyraneczka

Cyraneczka jest najmniejszą kaczką występującą w naszym kraju. Ptaki te gnieżdżą się przede wszystkim na pojezierzach w północnej części kraju, a wielkość populacji lęgowej w Polsce szacuje się na ok. 1,5 tys. par. kraju. Trendy liczebności cyraneczki w Polsce są słabo rozpoznane, jednak w Finlandii i Rosji, gdzie są największe populacje lęgowe tego gatunku, obserwuje się spadki na poziomie 20-30%.

Cyraneczki zimują w Polsce powszechnie, choć niezbyt licznie, prawie wyłącznie w zachodniej części kraju. Liczebność zimujących ptaków jest określana jako stabilna, jednak występują dość silne roczne fluktuacje.

Przez Polskę prawdopodobnie migrują cyraneczki z populacji korzystającej ze szlaku migracyjnego z północnej Europy (lęgowiska) do zachodniej (zimowiska). Jest też prawdopodobne, że część ptaków pochodzi z drugiej populacji, z lęgowiskami w zachodniej Syberii i zimowiskami nad Morzem Czarnym i Śródziemnym. Długoterminowy trend liczebności cyraneczki z populacji zimującej w północno-zachodniej Europie został określony jako znaczny wzrost, a jej liczebność oceniono na około 500 tys. osobników.

Łyska

Łyska jest w Polsce gatunkiem średnio licznym, ale jej rozmieszczenie jest nierównomierne. W największych zagęszczeniach ptaki te występuje na pojezierzach oraz lokalnie w dolinach rzecznych, zwłaszcza w latach z długo utrzymującymi się rozlewiskami. W środkowej i południowej Polsce rozmieszczenie ma charakter wyspowy. Podstawowe lęgowiska ograniczają się tam głównie do stawów rybnych oraz zbiorników zaporowych.

Liczebność populacji gatunku oceniana jest na 33 57 tys. par. W latach 2009 2013 liczebność łysek malała, ale w ostatnich latach wróciła do poziomu z 2008 roku. Brak jednoznacznych danych pozwalających na określenie długoterminowych trendów liczebności łyski w skali kraju, jednak lokalne badania wskazują na spadek liczebności nawet o 70 90% w ciągu ostatnich 30 lat. Za główne przyczyny uważa się drapieżnictwo norki amerykańskiej, pogorszenie bazy pokarmowej na skutek eutrofizacji wód oraz intensyfikację gospodarki stawowej. Mechanizmem obronnym przeciwko zwiększonej presji drapieżniczej jest prawdopodobnie zasiedlanie przez łyski zbiorników w obrębie terenów zabudowanych oraz niewielkich oczek śródpolnych, mniej penetrowanych przez drapieżniki. Dane z Europy wskazują na umiarkowany trend wzrostowy populacji w okresie 1980 2016, jednak w ciągu ostatnich 10 lat tego okresu liczebność spadała w tempie ponad 3% rocznie.

Łyski zimujące w Polsce należą do populacji zimującej w północno-zachodniej Europie. W dłuższej perspektywie czasowej, tj. od roku 1988, trend liczebności określono jako umiarkowany wzrost, a w krótszej – od 2003 roku – jako znaczący spadek. Liczebność tej populacji szacuje się na 1,2–2 mln osobników.

Przytoczone powyżej dane dotyczące tych czterech gatunków łownych ptaków wodnych wskazują, że rzeczywiście obserwowane są niepokojące tendencje w ich trendach liczebności. Jednak, zwłaszcza w przypadku głowienki i czernicy należy zwrócić uwagę na znaczną niepewność oszacowań spowodowaną małym rozpowszechnieniem i niską wykrywalnością tych gatunków oraz obecnością w populacji ptaków nielęgowych niemożliwych do oddzielenia od osobników lęgowych.

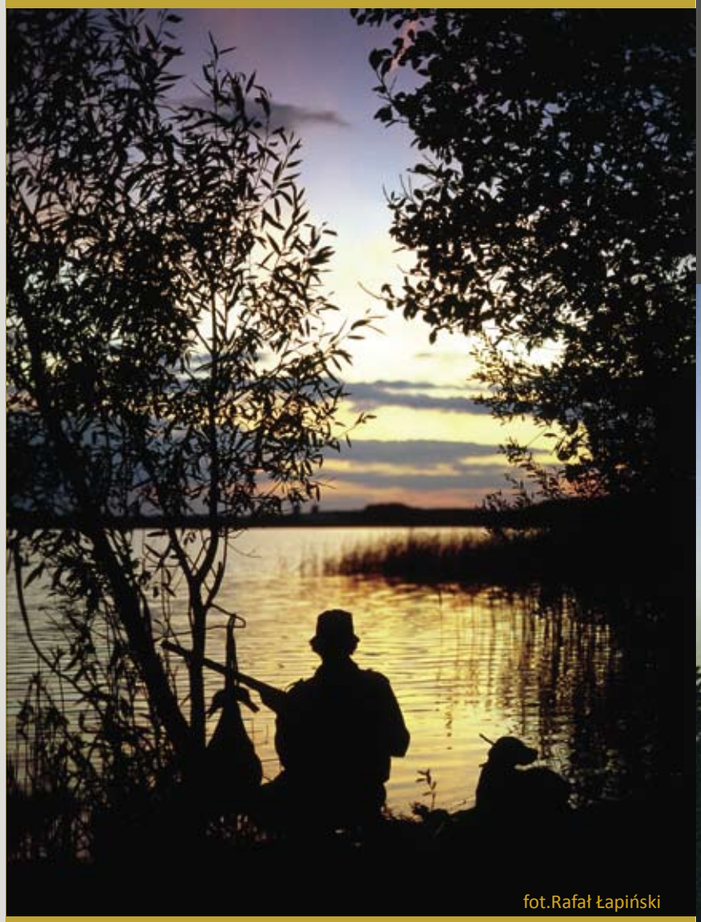

fot.Rafał Łapiński

prof. dr hab. Henryk Okarma
biolog, pracownik naukowy Instytutu Ochrony Przyrody PAN i Uniwersytetu Jagiellońskiego zajmuje się ekologią zwierząt, biologią łowiecką i ochroną przyrody autor licznych prac naukowych i książek dotyczących łowiectwa

LATO

Rafał Łapiński

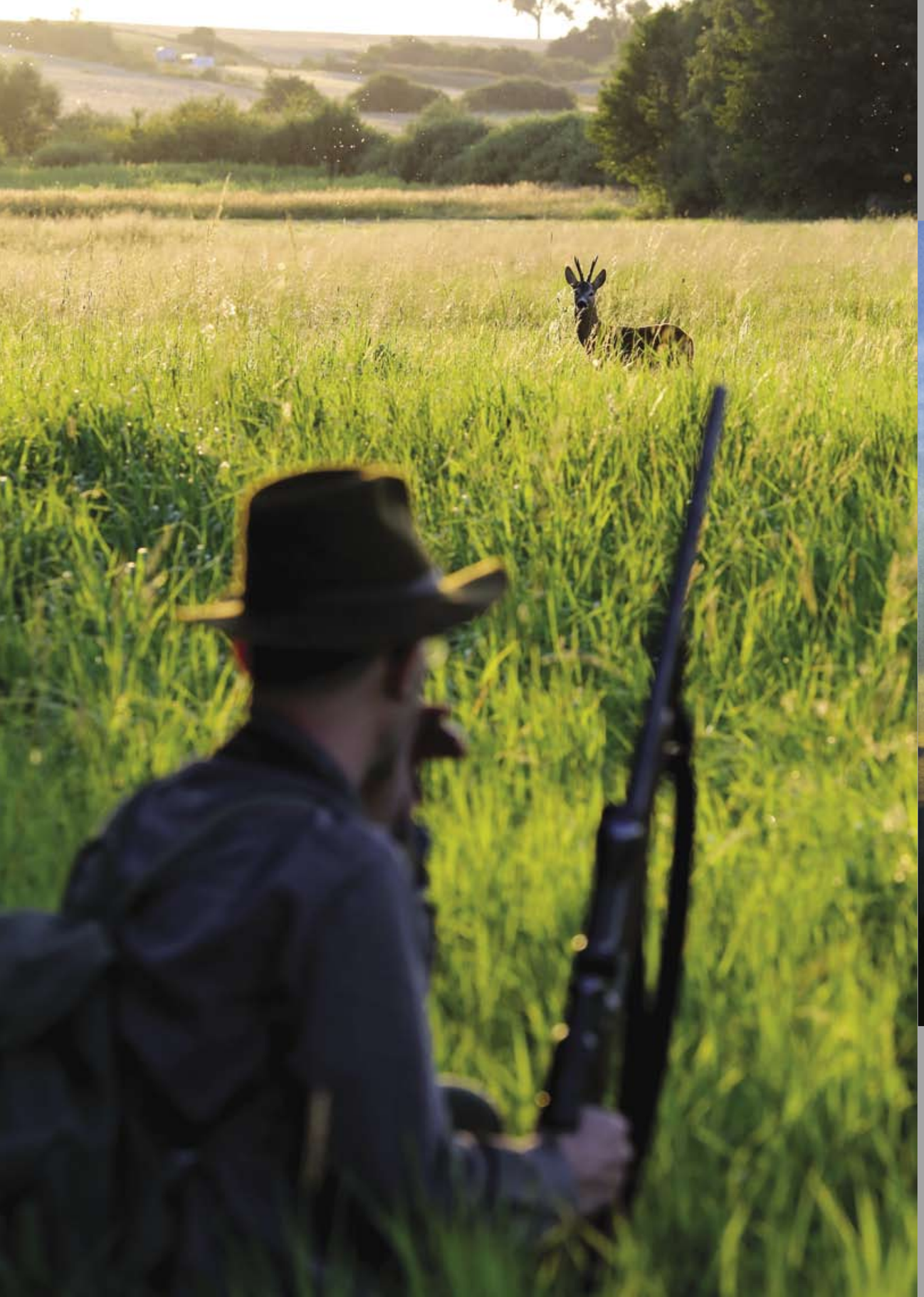

Waldemar Smolski

JUBILEUSZ MEDALU

„ZA ZASŁUGI DLA ŁOWIECTWA KRAKOWSKIEGO”

W roku 2019 minęła 35 rocznica ustanowienia bardzo prestiżowego Medalu - Za Zasługi Dla Łowiectwa Krakowskiego. Medal ten wprowadzono uchwałą Wojewódzkiej Rady Łowieckiej Polskiego Związku Łowieckiego w Krakowie jesienią 1984 r. Inicjatorem ustanowienia był M.P. Krzemień, który razem z Karolem Bilińskim ówczesnym Prezesem WRŁ PZŁ w Krakowie, po konsultacjach z zasłużonymi krakowskimi działaczami, opracowali „Regulamin” oraz wzór legitymacji. Projekt graficzny Medalu zaprojektował artysta malarz - myśliwy Andrzej Łepkowski, a wykonał w brązie Pan Ryszard Bochenek - Dobrowolski. Regulamin przyznania Medalu zatwierdzono w dniu 26 maja 1985 roku.

„Medal jest odznaczeniem jednostopniowym, przyznawanym osobom fizycznym - członkom Polskiego Związku Łowieckiego, Kołom PZŁ, a w drodze wyjątku także osobom (instytucją) spoza Związku za wybitny, autentyczny i konkretny wkład pracyna niwie łowieckiej regionu krakowskiego”

W tym samym dniu Wojewódzka Rada Łowiecka przyznała pierwsze Medale: pośmiertnie otrzymali je zasłużeni działacze łowieccy: kol. Józef Bankiewicz, Jan Bober, Antoni Duda, Stanisław Kiełek i Ludwik Lelito. Ponadto przyznano pierwsze Medale 19 wybitnym ówczesnym myśliwym - krakowskim działaczom Polskiego Związku Łowieckiego.

Na posiedzeniu Kawalerów Medalu w dniu 10 października 1985 roku dokonano wyboru spośród siebie - członków Kapituły Medalu w składzie: Andrzeja Sawickiego na przewodniczącego Kapituły, Karola Bilińskiego na sekretarza Kapituły, a na członków Kapituły Tadeusza Sanickiego, Janusza Wiltowskiego i Stefana Witka. W latach 1985-2020 skład Kapituły ulegał naturalnym zmianom, zgodnie z zasadami zawartymi w regulaminie, a Przewodniczyli jej w latach 1985-2003 - Andrzej Sawicki, w latach 2004 - 2016 - Adam Matyjewicz, a od roku 2016 do dnia dzisiejszego – Andrzej Tomek. Aktualny skład Kapituły Medalu przedstawia się następująco: przewodniczącym jest Andrzej Tomek, sekretarzem Waldemar Smolski, a członkami są: Hanna Karczmarska, Tadeusz Popiela i Janusz Szkatuła.

W okresie 35 lat działalności przyznano ogółem 131 Medale, w tym:

Członkom PZŁ(pośmiertnie) - 5 medali
Członkom PZŁ myśliwym - 85 medali
Kołom Łowieckim - 35 medali
Osobom z poza PZŁ - 5 medali
ALP - RDLP w Krakowie - 1 medal

Przez okres 35 lat działalności kolejne Kapituły przestrzegały postanowienia Regulaminu, i bardzo rozważnie przyznawały medale tak, że średnio rocznie wypada to 2,43 medale wg. danych na dzień dzisiejszy. Po 25 latach, 7 kwietnia 2010 roku, Kawalerowie Medalu spotkali się na uroczystości jubileuszowej Medalu, która miała miejsce w Dworku Kościuszki w Krakowie. Kolejne jubileuszowe spotkanie Kawalerów z okazji 30 lecia, miało miejsce 24 listopada 2014 r. w Kasynie Oficerskim w Krakowie. Podobne spotkanie z okazji 35 lecia, Kawalerów tego Medalu planowane był wiosną ubiegłego roku. Niestety pandemia wszystko pokrzyżowała. Mam nadzieję, że jak tylko pandemia osłabnie i będą możliwości odbycia spotkania, to ono się odbędzie.

LISTA ODZNACZONYCH MEDALEM

„ZA ZASŁUGI DLA ŁOWIECTWA KRAKOWSKIEGO”

/ wg stanu na dzień 1 maja 2021 r. /

1985 Józef Bankiewicz (pośm.) † ; Jan Bober (pośm.) †; Antoni Duda (pośm.) †; Stanisław Kiełek (pośm.)†; Ludwik Lelito (pośm.) †;Jadwiga Roeper (spoza członków PZŁ) †; Karol Biliński †; Stanisław Jamroga †; Henryk Jarzynowski †; Władysław Jurkowski †; Reinhold Kotucha †; Zbigniew Kowalski †; Andrzej Łepkowski †; Adam Matyjewicz †; Wacław Piątek †; Kazimierz Ruła †; Tadeusz Sanicki †; Andrzej Sawicki †; Karol Sękowski †; Jarosław Sienkiewicz †; Aleksander Styczeń †; Andrzej Szymański sen. †; Kazimierz Tarnowski †; Janusz Wiltowski †; Stefan Witek †.

1986 Marek Piotr Krzemień; Lech Pakuła; K. Ł. „KORMORAN” w Krakowie

1988 Antoni Adamski †; Gustaw Bielański †; Józef Odrzywałek †; Adolf Kaczmarczyk; Jan Ptak; Andrzej Tomek

1989 Janusz Malawski †; Waldemar Smolski; Tadeusz Uhl

1993 Janusz Szkatuła; Jacek Tomaszewski (Przew. ZG PZŁ) †; Jerzy Wertz (spoza członków PZŁ) †

1995 Tadeusz Irzabek †; K. Ł. „RYŚ” w Krakowie

1996 Józef Trutkowski †;

1998 Stanisław Kracik (spoza członków PZŁ); Wojciech Gubała †; Paweł Brzuski; Piotr Nowakowski

2000 K. Ł. „KNIEJA” w Krakowie; K. Ł. „CZAJKA” w Krakowie; Marek Brzeżański; Jan Marian Furczoń; Krzysztof Szpetkowski

2001 K. Ł. „DIANA” w Zembrzycach; K. Ł. „SOKÓŁ” w Krakowie; K. Ł. „PONOWA” w Myślenicach; Bogumiła Gmińska

2002 K. Ł. „BÓR” w Krakowie; K. Ł. „JARZĄBEK” w Krakowie; K. Ł. „GRODZISKO” w Raciechowicach

2003 K. Ł. „SZARAK” w Jerzmanowicach

2004 R. D. Lasów Państwowych w Krakowie (nie PZŁ); Alfred Król; Stanisław Sennik; Zbigniew Gryzło; Stanisław Rojkowski †

2005 K. Ł. „HUBERT” w Proszowicach

2006 K. Ł. „DIANA” w Krakowie; K.Ł. „HUTNIK” w Krakowie /obecnie „ORLIK”/; K. Ł. „ŻUBR” w Krakowie; Andrzej Patoła; Zbigniew Bonczar †; Wojciech Plewiński; Hubert Zwinczak

2007 K. Ł. „GŁUSZEC” w Krakowie; K. Ł. „PODWAWELSKIE” Krakowie; K. Ł. „LEŚNIK” w Krakowie; Stanisław Dajczer; Marek Gorączko; Barbara Szczypuła (spoza członków PZŁ); K. Ł. „BAŻANT” w Wieliczce

2008 Józef Pociecha †; K. Ł. „BATALION” w Krakowie; Józef Cieszyński †; Tadeusz Popiela; Antoni Dziatkowiak; Edward Szot; K. Ł. „SARENKA” w Wawrzeńczycach; K. Ł. „LEŚNIK” w Alwerni; K. Ł. „LAS” w Kłaju; K.Ł. „DARZ BÓR” w Krakowie; Władysław Kamusiński †; Maciej Dwornik; K. Ł. „SOKÓŁ” w Łętkowicach

2010 Andrzej Szymański jr.; Bronisław Pękala; K. Ł. „ŻUBR” w Niepołomicach, T.M. im. św. HUBERTA w Krakowie; Aleksander Duda; K. Ł. „SOBÓL” w Krakowie;

2011 Tadeusz Kubacki; Ryszard Zieliński; K. Ł. „DIANA” w Chrzanowie;

2012 K. Ł. „ŻURAW” w Chrzanowie; Karol Krop; K. Ł. „KSZYK” w Krakowie; K. Ł. „JASTRZĄB” w Krakowie; Roman Waldemar Pociask; K. Ł. „SZARAK”w Koszycach

2013 K. Ł. „SZARAK” w Skale; K. Ł. „RABA” w Gdowie; Jan Gorczyca; Ks. infułat Bronisław Fidelus (spoza członków PZŁ)

2014 Hanna Karczmarska; Bronisław Małek; Maria Wysocka (spoza członków PZŁ)

2017 Jerzy Błyszczuk †; Jerzy Chmiel; Tomasz Ciepły; Leszek Węgrzyn

2018 Włodzimierz Skleniarz; Marek Wajdzik; Bogdan Kowalcze; Jerzy Mikołajczyk; Stanisław Gąsienica; Zbigniew Skowronek

2019 Tadeusz Brzuchacz; Janusz Kubicz; Leszek Paczkowski

2020 Andrzej Battek; Maciej Kaliski; Marek Zuski

† nie żyją

KRAKOWSKI KONKURS FOTOGRAFICZNY 2021

pod patronatem

Wojciecha Plewińskiego

FOTOGRAFIA PRZYRODNICZO-ŁOWIECKA

Prace należy przesłać najpóźniej do dnia 15 października 2021 r. na adres emailowy:
fotokonkurs.krakow.pzl@gmail.com

fot.Rafał Łapiński

Hubert Zwinczak

SZYMAŃSCY

Jest w naszym mieście myśliwy, który od prawie sześćdziesięciu lat pozostaje w centrum krakowskiego świata łowieckiego. Biorąc pod uwagę, iż lat ma około sześćdziesięciu z ,,hakiem", to fakt to dość niezwykły. Pierwsze kroki na tej drodze stawiał - jakże by inaczej- pod okiem ojca, Andrzeja Szymańskiego seniora, wówczas odpowiedzialnego za organizację polowań na stawach zatorskich, a później wieloletniego Łowczego Wojewódzkiego w Krakowie. Dopingowali go w tym koledzy ojca po strzelbie, użyczając co rusz swoich dubeltówek. Rzecz się działa na stawach zatorskich i w wielu innych łowiskach podkrakowskich. Jak widać uczeń był pojętny, bowiem niedługo później mógł się pochwalić pierwszym dubletem. Miało to miejsce w czasach, gdy obecność dzieci na polowaniu nikogo nie dziwiła, a jak pokazał czas, wyrosły raczej na ludzi rozumiejących i kochających przyrodę. Potem przyszedł czas startów w zawodach w strzelaniu do rzutków i pełnoprawne już polowanie z własną strzelbą. Zawody niejednokrotnie kończył ,,na pudle"i to również te rangi w Polsce najwyższej. W okresie zmiany ustrojowej założył biuro polowań i organizuje już 30 lat polowania dla myśliwych zagranicznych i krajowych. Dało to między innymi możliwość poznania i polowania w najlepszych łowiskach w kraju. Na co dzień poluje w Kole Diana w Krakowie, a w Kołach Miot Kraków / Werchrata oraz Złota Jesień w Strzyżowie, których jest członkiem gości, gdy tylko jest to możliwe. W strukturach związkowych działał od lat, pracując w wielu komisjach. Gdy proponowałem mu rozmowę dla naszego czasopisma odparł:

- Wyobrażałbym sobie to nie jako elaborat o moich sukcesach sportowych czy łowieckich, ale raczej jako opowieść o ludziach, których przyszło mi spotkać na mojej łowieckiej drodze, na przestrzeni parudziesięciu lat. Bo ludzie są najważniejsi...

A zatem oddajmy głos Andrzejowi Szymańskiemu juniorowi.

Które lata w życiu człowieka mogą być najważniejsze ? Chyba te wczesne , dziecinne , kiedy pod okiem i opieką dorosłych dzieci kształtują swoją świadomość , zainteresowania , postrzeganie otaczającego świata i ludzi. Jeśli wychowywało się w rodzinie o tradycjach myśliwskich z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością trzeba założyć że, kolejne pokolenie będzie to kontynuować. Jeśli dodać do tego że, ojciec umiejętnie umie szczepić i podsycać pasje swego dziecka już nie ma innej alternatywy. Także i w moim przypadku tak się złożyło.

Jeszcze niewiele rozumiejąc z wypiekami na twarzy słuchałem historii rodzinnych , o walce z zaborcami o wolność, o starszych w rodzinie zesłanych na Sybir w konsekwencji swoich rewolucyjnych czynów. Był między nimi stryj ojca Bronisław, który po zesłaniu został pod Uralem i żył utrzymując się z tego co przyroda zaoferowała. Pozostała jedyna fotografia. Ona i opowieści prawdopodobnie spowodowały że, ojciec mój będąc już zapalonym wędkarzem muchowym (łowił łososie w Wiśle pod Wawelem - prawda nie fałsz) zapalił się do myślistwa. Wybuchła wojna; w trakcie jej trwania będąc chłopcem brał udział w działalności konspiracyjnej. Aresztowany, był więźniem gestapo na Montelupich, został uratowany i wyszedł w przededniu swoich 18 urodzin . Już nie był dzieckiem. Po wielu latach i próbach zmierzenia się z tym doświadczeniem oprócz swoich przesłuchań, obrazu swoich najbliższych wujków a raczej tego co z nich pozostało podczas konfrontacji w czasie wspólnych przesłuchań, pamiętał. Pamiętał ludzi z którymi był pod celami, ich nazwiska , zachowania w sytuacjach ekstremalnych. Może dlatego w późniejszym życiu także tym łowieckim powtarzał „ludzie, ludzie są najważniejsi". Myślę sobie już z mojej 65 letniej perspektywy, bezsprzecznie miał rację. To może być motyw przewodni historii wspólnej, może nie sukcesy, może nie zaszczyty, może nie odznaczenia i medale. Miałem tę wyjątkową okazję że, dzięki ojcu, a następnie swojej działalności społecznej i zawodowej poznałem wielu, bardzo wielu ludzi łowiectwa . Pamiętam i ja, jeśli nie wszystkich to ogromną większość. I im wszystkim korzystając z tej okazji - tym którzy byli i tym którzy są, chciałbym się nisko pokłonić i podziękować, że dane mi było ich w ciągu życia spotkać.

W zgodzie z wcześniejszymi słowami uważając tych pierwszych za może najważniejszych, wracam pamięcią do szczęśliwych myśliwskich lat dziecinnych.

Świat ten skoncentrował się na terenie przyrodniczego i łowieckiego cudu jakim były „ stawy Zatorskie -Przyręb i Spytkowice . Tam się wychowywałem ja i inni synowie i córki myśli-

Stuposiany rok 1951 (nazwiska A. Szymański sen., Stanisław Kosek, Franciszek Cichy , Gwido Strouhal) – chwila i nie było by mnie na świecie, przez tego odyńca.

wych . Tam się wychowało ogromne grono miejscowych dzieci, które pomagały myśliwym przy polowaniach. Dziś wielu z nich lub ich dzieci to zacni myśliwi, a nasza znajomość i przyjaźń, jeśli przyjąć że jeździłem tam od urodzenia, trwa niemalże 65 lat Nikt nie widział w tym nic co by zagrażało prawidłowemu rozwojowi emocjonalnemu dzieci. Żadne z nas nie stało się w życiu dorosłym wynaturzonymi oprawcami. Wszyscy rozwinęliśmy w sobie szczególną wrażliwość na fizyczne obcowanie z dziką przyrodą, a wszyscy obecni tam dorośli będąc dla siebie przyjaciółmi dawali nam wspaniały przykład „ lubienia ludzi". Jestem przekonany że, czas spędzony w dzieciństwie właśnie wśród tych osób, ukształtował dość wcześnie, mój sposób postrzegania ludzi i tego co stało się treścią mojego życia czyli łowiectwa. Z najwcześniejszego okresu który pamiętam to: najbardziej zaprzyjaźniona rodzina Komorowskich - Zbigniew i jego żona Czarka – tak zapamiętałem to imię, które było w 100 % adekwatne do pięknej i czarującej

Polowanie na kuropatwy w miejscowości Skrzynka; czterech kolegów i „Ondulowany" - wyżeł o imieniu wypisz, wymaluj jak jego sierść. Był rozbrajający - w każdym aucie zawsze zajmował miejsce na desce pod tylnym podszybiem - a nie był mały

osoby, córka Ewa, syn Witold Komorowski w późniejszych czasach czołowy polski strzelec w konkurencji Trap, z którym rywalizowaliśmy na strzelnicach Polski i Europy, a do dziś się przyjaźnimy. Franciszek Cichy i niezapomniana jego towarzyszka życia Zosia, Jan Bober „ guru" z legendarnym wyżłem Czekiem, syn Zygmunt Bober, niewątpliwie do końca największy przyjaciel mego ojca, wnuczka Hania, wnuk Marek Bober – mój najwcześniejszy towarzysz pierwszych kroków myśliwskich pod okiem ojców i nie tylko. Andrzej i Zosia Morawscy, z którymi przebywając, nie trzeba było czytać co to znaczy kultura osobista. Stanisław Osmoła, Ivo Cielecki – mój mentor , niezapomniana postać i niezapomniana jego horyzontalna 20-tka. Tam gdzie prawa balistyki kończyły się dla wszelakich 12-tek, tam królowała 20tka Iva, a on sam królował poczuciem humoru, ogromną kulturą osobistą i etyką łowiecką. Kazimierz Sokołowski - to z jego dubeltówki mając 7 lat oddałem

Polowanie Zator stawy Przyręb

pierwsze 2 strzały, niestety zdublowane, które skończyły się fikołkiem do stawu, a już gdy się wykaraskałem na każdy następny czekałem jak pies na przysłowiową kość. Erwin Rembiałkowski z miłym uśmiechem niestrudzenie brodzący w każdych oczeretach, Gustaw Bielański, Stefan Witek jedna z istotniejszych postaci krakowskiego łowiectwa, Stefan Rachwał, zawsze pełen wigoru Władysław Mędrek, Stanisław Kosek, czy Marian Nita. Czesław Skowron - człowiek, któremu żaden język spustowy się nie oparł jeśli niechcący zapomniał, że akurat strzelba jest zabezpieczona. Andrzej Łepkowski z bujną osobowością, nierozłączną Saharą i kolejnymi wcieleniami złotego cocer spaniela o imieniu Coco. Antoni Duda i doskonała wyżlica Heksa, zawsze dostojny Stanisław Kiełek i Stanisław Sadlik, kierowca jedynego w historii krakowskiej organizacji łowieckiej służbowego samochodu marki Warszawa 223. Dla dziecka, które akurat chłonęło całym sobą świat, w którym się znalazło równie ważne były osoby miejscowe - rówieśnicy i starsi . Wielu z nich posiadało ogromne praktyczne umiejętności i wiedzę o środowisku w którym na co dzień żyli. Rodzina Salów z Przyrębu, ojciec Karol i synowie Staszek, Jasiek i mój imiennik i towarzysz – pomocnik Andrzej oraz niezapomniany pies Misiek, któremu krzyżówka dorównywała barwą i wielkością.Strażnicy Wojciech Wawro, Stanisław Sikora, Stanisław Jarosz, Antoni Bercal i Wincenty Kulawik z nierozłącznym rowerem i skórzaną raportówką, w czeluściach której zawsze znajdowały się pyszne śliwki, jabłka i gruszki. Rodzina Augustyniaków

Staw Jastrzębiec / Przyręb, ojciec, ja stoję, Hania i Marek Bober – nauka pływania „pychówką" - opanowałem, a nie jest to proste.

Zawody w Brnie, pamiętne bardzo bo wygrałem czeskiego Bocka Kozlicę, którego używam do dziś

Mistrzostwa Europy Suhl, w kolejności od pierwszego planu Adam Smelczyński, Leszek Koprowicz, Andrzej Szymański, Grzegorz Strouhal, Janusz Lato

z „czarnego domku„ przy stawie Czupryński. Marian Augustyniak chodząca historia tych stawów, w roku 2020 dzień przed rozpoczęciem swojego 71 sezonu, przygotowany w kamienie dla aportu dla suki odszedł na wieczne łowiska. Nigdy nie polował, a był zawsze i pozostanie w mej pamięci jak i wszyscy inni, których już nie ma.

Czas dorastania to czas nieposkromionej aktywności myśliwskiej i sportowej związanej z łowiectwem. Od 1972 roku rozpoczęła się najpierw przygoda, a potem właściwie profesjonalne zajęcie sportem - strzelectwo sportowe konkurencja Trap olimpijski 200 rzutków, klub WKS Wawel Kraków.

Andrzej Łysiński i ja po kolejnym mistrzostwie Polski

Etap ten zakończył się w 1989 r. Te intensywne 17 lat owocowało wieloma sukcesami ale nie czas i miejsce by się chwalić. Trzymając się schematu który założyłem pragnę jedynie przypomnieć nazwiska związane z krakowskim strzelectwem śrutowym w czasach gdy Kraków był kolebką i natchnieniem dla całej Polski. Wszystkie wymienione niżej osoby były członkami PZŁ.

Andrzej Łysiński, w przekonaniu wielu -najistotniejszy trener w historii polskiego strzelectwa śrutowego (na zdjęciu z piszącym po zdobyciu kolejnego tytułu Mistrza Polski), Maciej Rudziński, Adam Bisping, Juliusz Lewartowski, Artur Rogowski, Czesław Skowron, Grzegorz Strouhal, Wiesław Gawlikowski , Adam Matyjewicz, Zbigniew Maciejewski, Wiktor Szamrej – wielce zasłużony dla rozwoju strzelectwa śrutowego w Krakowie, Witold Komorowski, Krzysztof i Piotr Lenartowiczowie, Andrzej i Piotr Malikowie, Zdzisław Zapała, Tadeusz Szamrej, Piotr Waślicki, Piotr Nowakowski – najbliższy przyjaciel po dziś dzień i żeński rodzynek Zofia Karolczyk. Równolegle do strzelectwa sportowego piszący te słowa angażował się w rozwój i podnoszenie poziomu strzelectwa myśliwskiego organizacji krakowskiej. Dzięki takim Kolegom jak: Adam Blaźniak, Stanisław Gniadek, Stanisław i Marek Białkowie, Mariusz Rubiś, Hubert i Aleksander Babińscy, Piotr Nowakowski, Zdzisław Zapała, Janusz Pudełko, Marian Furczoń, Kazimierz Latała, Marek Maciejczyk, przy ogromnym osobistym zaangażowaniu Bronisława Pękali i sprzyjaniu do pewnego czasu Zarządu Okręgowego i Okręgowej Rady Łowieckiej okręg krakowski był wzorem do naśladowania niemalże dla całej rodziny polskich myśliwych mających na względzie rozwój swoich umiejętności strzeleckich .

Czas dorosłości jeszcze trwa i choć „szron na głowie i nie to zdrowie, to w sercu ciągle maj”

Wszystkich których spotkałem niezależnie od okoliczności na swojej łowieckiej ścieżce podchodowej, czy to z ojcem czy w życiu odrębnym, zachowuję we wdzięcznej pamięci. I nie są to puste słowa, jeśli mnie zapytacie o kogokolwiek z nich, odpowiem.

Rykowisko Werchrata 2009

Mój rozmówca niewiele o tym mówił, więc może jednak wspomnę, iż jest kilkukrotnym mistrzem polski w konkurencji trap i medalistą zawodów o randze europejskiej. Na niwie łowieckiej skutecznie działał w wielu komisjach, dając sie poznać jako człowiek o wyrazistych poglądach. Do szeregu odznaczeń jakimi został wyróżniony, podchodzi z przymrużeniem oka twierdząc, że to co dla niego najważniejsze w polowaniu, to możliwość realizowania własnego sposobu widzenia łowiectwa, również poprzez kontakt ze współtowarzyszami łowów.

Hubert Zwinczak

CWANIAK

Zygmunt Jordan

Nie wiadomo skąd i kiedy pojawił się w lesie; czy przywędrował z sąsiednich lasów, czy też był takim udanym tubylcem? Nikt go przedtem nie spotkał, jego ostoi nie znał nawet gajowy Kopeć, ten „wszystkowiedzący" w sprawach zwierzyny.

Dopiero z końcem maja leśniczy, wracając od robót leśnych późnym popołudniem, spłoszył go przy łące „w potokach". I dojrzał - jak twierdził - jego wspaniałe parostki.

— Wzrok mam przecież dobry, pomyłka wykluczona! Miałem go na dwadzieścia kroków, nie więcej, i widziałem dobrze, że to mocny, regularny ósmak! W życiu takiego smoka nie spotkałem! - raportował w podnieceniu.

Było w lesie kilka rudli saren, było między nimi parę mocnych szóstaków, ale dotąd o ósmaku nikt nawet z okolicznych myśliwych nie wspomniał. I choć miałem jeszcze pewne wątpliwości co do bystrego wzroku leśniczego, spróbować - pomyślałem - warto. A nuż miał rację. Kozioł ósmak - to nie byle gratka! To pachnie złotym medalem na wystawie łowieckiej!

Już następnego dnia wybrałem się do lasu, uzbrojony w sztucer i lornetkę. Była to dosyć długa i żmudna wyprawa. Najpierw trzeba było przeprawić się przez Dunajec. Przewóz „łódką-pychówką" był sprawą urozmaiconą: najpierw z mojego brzegu trzeba było, złożywszy dłonie w trąbkę (bo Michał, przewoźnik, był przygłuchy), ryknąć pełną parą: - Przewoooź! - Po kilkakrotnym powtórzeniu tego wezwania dochodziła z tamtego brzegu odpowiedź: - Juz jadęęę!

Michał-schodził na brzeg, odwiązywał łódkę, żerdzią stukał o jej boki, a stukanie to było tak odmienne od wszystkiego, że gdyby mnie ktoś dzisiaj postawił z zawiązanymi oczami i zapytał, co słyszę, odpowiedziałbym bez namysłu: „Michał szykuje łódkę!". Tak odgłos tego stukania, lecący po wodzie, zmieniał się w jakiś specjalnie dunajcowy, jedyny w swoim rodzaju, odgłos.

Michał podjeżdżał do brzegu na zakręcie i prąd był tu wartki. Po drugiej stronie woda była spokojniejsza i głęboka. Michał dobijał do brzegu i teraz, jak za każdym razem, jak prawdopodobnie od lat, powtarzał swój żart, ogłaszał z całą stanowczością: - Dalej nie pojadę! — jakby dla łódki było jakieś „dalej". Teraz trzeba było odbyć ciężki marsz pod górę ścieżkami, drożynami polnymi, stromymi i kamienistymi, że aż dech zapierało. I tak aż do szczytu góry, 419 metrów nad poziom morza. Kiedy nareszcie osiągnąłeś szczyt, otwierał się przed tobą niezapomniany widok.

Na północy, za rzeką, leżała, jak okiem sięgnąć, równina. Stałeś na ostatnim z wyższych wzgórz Podkarpacia, u stóp którego Dunajec wyłamywał się z gór na równinę nadwiślańską. W dole lśniła jego kręta wstęga i stamtąd dochodził jednostajny, poważny szum. Kilka kilometrów dalej widniały domy Wojnicza, dalej na północ mogłeś dojrzeć linię kolejową Kraków - Tarnów i maleńkie węże pociągów, wyglądające jak dziecinne zabawki. Jeszcze dalej — miasteczko Radłów, za którym już wszystko zlewało się w jeden niewyraźny obraz aż do Wisły, a nawet za Wisłę, bo przy słonecznej pogodzie widać było rząd włoskich topól Macieja Radziwiłła w Słupi, odległych stąd o jakieś 40 kilometrów.

Ale najdalszy i najwspanialszy widok był ku południowemu zachodowi. Góry coraz wyższe, coraz bardziej strome, aż na widnokręgu, jak zapora dla wzroku, siniało potężne gniazdo Tatr, dalej ku zachodowi Beskid Wysoki i wielki kopa Babiej Góry, do której wzrok przebiec musiał około stu kilometrów.

Poza nimi już nie było nic. Jakby się tam świat urywał i kończył, przestrzeń jakaś mglista, z której, jak z gotującego się kotła, wybiegały o zachodzie słońca złociste chmurki, zawadzały o grzebień Tatr i rozdarte na strzępki płynęły ku tobie smugami bieli i złota.

Kiedy nasyciłeś oczy tą świetlistą dalą, tuż za plecami spostrzegałeś ogromny kamienny obelisk. To cmentarz wojenny 1914 -15 roku. Pięć morgów powierzchni pełnej tak indywidualnych, jak i zbiorowych grobów Austriaków, Rosjan i Niemców, którzy tu polegli w ciągu prawie półrocznych walk pozycyjnych nad Dunajcem. Dalej - kilka chałup i nieduży folwark.

Spod twoich stóp teren zbiegał stromym stokiem, w głębi parów górski, porośnięty lasem. Wszędzie lasy, lasy...

Na dnie parowu, w potokach, leżała niewielka łąka, przy której leśny spotkał owego kozła-ósmaka. Tam zbudowano przy brzegu lasu szałas z gałęzi z kilku „okienkami" strzelniczymi i tam postanowiłem zasiąść i czekać.

W szałasie znalazłem wcale wygodne siedzenie, przemyślnie zrobione z kilku wbitych w ziemię palików, powiązanych warkoczykami siana. Przez okienka widziałem całą łąkę, a sam byłem niewidoczny.

Słońce zniżyło się ku zachodowi, kiedy zasiadłem w szałasie, tu na dnie parowu był już głęboki cień. Chociaż nie wierzyłem w powodzenie tak od razu, od pierwszej próby, postanowiłem jednak cierpliwie czekać.

Kiedy po zachodzie słońca zrobiło się już szaro, na drugim końcu polany pojawił się jakiś cień, za nim drugi i trzeci. Sarny. Dystans był spory, ale przez lornetkę poznałem dwie kozy i lichego koziołka.

Jednak mimo szmeru potoku zdawało mi się, że jakaś czwarta sztuka, która na łąkę nie wyszła, hałasowała w gąszczu nad strumieniem, objadając z liści krzaki. Czekałem, aż się ukaże, ale zrobiło się już dobrze szaro, muszki na sztucerze nie mogłem już dojrzeć, więc zrezygnowany wysunąłem się z budy i cichutko ruszyłem ścieżką w góry.

Wyżej, na południowo-zachodnim stoku, było jeszcze całkiem jasno od łuny zachodniej. Kiedy oddaliłem się od łąki na bezpieczną odległość, zarzuciłem sztucer na ramię i przyspieszyłem kroku nie zważając na hałas.

Szedłem teraz szybko drożyną, wyżłobioną przez furmanki i deszczową wodę, po obu stronach mając gęste ściany młodego lasu, gdy naraz, bez żadnego ostrzeżenia, tuż przed moim nosem wyskoczył wspaniały kozioł, w kilku długich susach przebiegł parę kroków wzdłuż drogi i wskoczył w przeciwległe zagajniki, zanim mogłem pomyśleć o zerwaniu sztucera z ramienia. Widziałem go przez dwie, trzy sekundy, ale wystarczyło mi, by rozpoznać jego poroże; był to ósmak o wspaniale uperlonych parostkach!

Ty cwaniaku! Wyczekałeś momentu, kiedy mnie przestraszysz, a nie ja ciebie, pomyślałem, sprytna z ciebie sztuka!

W tych paru sekundach strzelić nie zdążyłby nawet kowboj, który spod pachy (oczy-

wiście w kinie) kładzie trupem tuzin innych, a potem dmucha w rurkę. Ja nie zdążyłem nawet złożyć się do strzału, kiedy jednym susem zniknął w krzakach.

Ale teraz uwierzyłem. Gdzieś w tej części lasu ma swoją ostoję potężny kozioł-ósmak i prędzej czy później zjawi się na łące, bo tam wieczorami żerują sarny.

Od tego spotkania spędzałem prawie każdy pogodny wieczór w szałasie przy łące. Mijał czas, chciało się za-palić papierosa, bo komary zaczynały ciąć, ale odruchowo wydobyta papierośnica wędrowała z powrotem do kieszeni, bo jakże można palić i płoszyć takie niezwykłe trofeum (potencjalne...) dla głupiego papierosa! Wilgotne sarnie nozdrza są przecież tak czułe na najlżejszą woń...

Od innych zaczęły też nadchodzić wieści o koźle. Ksiądz ze Szczepanowie spóźnił się na partię preferansa u leśniczego, bo - jak opowiadał - kozioł wielki jak krowa przeskoczył mu drogę tuż przed końskimi nosami tak, że spłoszone wjechały w głęboki rów, bryczka się przewaliła i proboszcz, który wybrał się bez furmana, sam jeden musiał bryczkę wyciągać z rowu i postawić na koła. Ksiądz był też myśliwym i cztery odnogi parostek nie uszły jego uwagi. Przy kartach bardzo był podniecony i na pewno więcej myślał o ósmaku niż o atutach w garści...

Na Radlankach robotnicy leśni posłyszeli szczekanie rogacza w lesie i po chwili na wyrębie ukazał się „on". Postał chwilę, rozglądając się, a potem, jakby prowokując, przegalopował przez wyrąb, omal nie zderzył się z gajowym i zniknął w jodłowej kulturze.

To był kozioł z tupetem i przy tym doświadczona sztuka; ludzi ruszających się, jadących czy idących, nie bał się zupełnie. Wiedział, że tylko skradający się powoli i stojący bez ruchu w lesie są groźni.

Od tego czasu zasiadałem w mojej budzie prawie każdego wieczora. I chociaż tego cwaniaka, tego nieuchwytnego kozła, mimo wysiłków, w rezultacie nigdy nie dostałem, zawdzięczam mu niezapomniane przeżycia; jedno czysto myśliwskie, drugie... chyba najpiękniejsze przeżycie, w którym wziąłem udział jako oczarowany widz jednego w swoim rodzaju misterium, jakby wyjętego prosto ze „Snu Nocy Letniej".

A było to tak:

W piękny czerwcowy wieczór zasiadłem w moim szałasie z nadzieją w sercu, że to dzisiaj, właśnie dzisiaj kozioł zjawi się na łące i zbliży się na strzał.

Byłem w dobrym nastroju, bo na przewozie stary Michał, przybiwszy do brzegu, stanowczo oświadczył, że dalej nie pojedzie, bo ze szczytu góry Tatry było widać tak wyraźnie, że bez trudu można było rozróżnić Gerlach, Łomnicę i Krywań; bo z lasu dochodził nieustający śpiew kosów, drozdów, i pomniejszej braci ptaszej; bo z dołu słychać było szum Dunajca, dla mnie najpiękniejszej rzeki na świecie; bo wokół tysiące świerszczy zaczęło swój przedwieczorny koncert. Po prostu świat był dziś cudownie piękny i warto było na nim żyć!

Przez otwory w mojej budzie widziałem, jak z zachodem słońca łąka pokryła się rosą błyszczącą perełkami na każdym listku, jak potem z potoku wstała gęsta mgiełka, sinym oparem kładąc się na łące, ale wyżej nie podniosła się, tylko położyła się tuż nad ziemią gęstą warstwą, jakby ktoś łąkę mlekiem polał. Teraz nad tym sinobiałym dywanem ukazały się świętojańskie robaczki, najpierw jeden, dwa, potem tuziny i wreszcie tysiące ich zaczęły jakiś taniec, jakiegoś menueta pod muzykę świerszczowej kapeli.

Było jeszcze dosyć jasno, gdy nagle w lesie coś zaszeleściło. Z gęstwiny wybiegł lis. Nad mlecznym oparem widniały tylko głowa, tułów i kita; kończyny tonęły we mgle.

Widocznie lisek był w podobnym do mojego nastroju, pewnie rozpierała go radość życia i figle się go trzymały, bo naraz puścił się w pogoń za świetlikami. W zwinnych podskokach próbował przednimi łapami schwytać światełka, ale one zwinnie unikały go i zygzakami ulatywały w górę.

Zabawa trwała w najlepsze, zapadła szarówka, zaczęło się ściemniać, a ja siedziałem jak przygwożdżony, nie mając siły, aby wstać i odejść. To było zbyt piękne...

Byłbym tak siedział do północy w tym przedziwnym teatrze, ale naraz liska-tancerza jakby zdmuchnęło ze sceny; w kilku susach zniknął w gąszczu. Jego miejsce zajęły sarny. Ale również i mgła podniosła się wyżej, pociemniało na łące i nawet przez lornetkę nie można było odróżnić kozła od kozy.

Było zbyt późno, czekała mnie daleka i trudna droga w ciemności. Wstałem i ostrożnie wyszedłem na ścieżkę. Dopiero o północy wróciłem do domu z mocnym postanowieniem przyjścia nazajutrz.

Następnego wieczoru siedziałem znów w mojej budzie. Słońce właśnie zachodziło, na łące zaczynał się wczesny zmrok, ale widoczność była jeszcze dobra. Toteż wyraźnie zobaczyłem sarnę, jak wyszła od potoku, za nią druga i wreszcie ukazał się kozioł.

Podniosłem lornetkę i aż mi dech zaparło; o jakieś 30 kroków stał mój ósmak... Widziałem wyraźnie jego wspaniałe, grubo uperlone parostki, zdobiące śliczny łeb.

Schylił się i zaczął skubać trawę.

Ostrożnie, popatrzywszy pod kolana, czy nie ma żadnych gałązek, które mogłyby narobić hałasu, spłoszyć kozła, ukląkłem i przez okienko spojrzałem na niego; stał w tej samej pozycji. Zmierzyłem dokładnie na komorę i nacisnąłem spust. Trzasnął sucho strzał, kozioł skoczył w górę i padł nieżywy.

I teraz zaczęły się dziać dziwne rzeczy, w tej samej bowiem chwili wyskoczył drugi kozioł, oszołomiony hukiem podbiegł w moją stronę i... stanął o kilka kroków od mojej kryjówki!

Na jego głowie dumnie sterczały wspaniałe parostki..: ósmaka.

Mój Boże! Czyżby dwa?...

Nerwowo nie wytrzymałem. Rozdarłem gałęzie budy i wyskoczyłem na zewnątrz.

A kozioł stał jak mur o dziesięć kroków przede mną.

Poderwałem sztucer do twarzy, zmierzyłem i.... klap! Nic! Zapomniałem z tej emocji zarepetować...

A kozioł popatrzył na mnie jakby zdziwiony, dał dwa potężne susy i znikł w lesie.

Teraz zacząłem spokojnie myśleć. Przecież strzeliłem do niego, jak tylko się ukazał i padł w ogniu, nieżywy... Ot, tam leży, stąd widać go doskonale! Czyżby dwa ósmaki? Niemożliwe! Podbiegłem do leżącego kozła; był to koziołek; ale zaledwie marny spiczak.

Zacząłem sobie przypominać każdy mój ruch od chwili ukazania się sam na łące i teraz dopiero zrozumiałem, co się stało. W tych paru sekundach, kiedy spuściłem z oka mego ósmaka, aby spojrzeć pod moje kolana, Ósmak, jakby tknięty przeczuciem niebezpieczeństwa, wszedł za krzaki, a na jego miejsce wyszła ta mizerota, która tu leży i stanęła w identycznej pozycji...

Któż mógł się spodziewać tak nagłej zmiany na scenie!? Najwyżej trzy sekundy i biedny młodziak poległ, a tamten cwaniak dalej buja po świecie.

Nigdy go nie dostałem. Przepadł jak kamień w wodę, widocznie miał dość ciągłych spotkań z ludźmi.

Ale dał mi kilka najpiękniejszych chwil, których nigdy nie zapomnę...

Zygmunt Jordan

Opowiadanie pochodzi z tomu „Nad Dunajcem i gdzie indziej". Autor - myśliwy, ziemianin, emigrował po wojnie do Anglii. Książkę wydano w 1982 roku, parę miesięcy po jego śmierci.

rys. Hubert Zwinczak

Falery krakowskich kół łowieckich
w moich zbiorach - Cz. II

Bogdan Kowalcze

Wśród krakowskich kół łowieckich kilka z nich przyjęło nazwy patronów łowiectwa bądź też opiekunów. Do tych należą „Diana" w Chrzanowie, „Diana" w Krakowie, „Hubert" w Proszowicach, „Hubertus" w Krakowie, a także „Towarzystwo Myśliwskie im. Św. Huberta" w Krakowie, „Hubert" w Pcimiu oraz „Sylwan" w Krakowie. Z założenia prezentuję oznaki i medale wydane przez nasze krakowskie koła, które układam w grupy tematyczne według z góry założonego scenariusza. Była zwierzyna, teraz patroni i opiekunowie. W kolejnych numerach falery będą dotyczyć nazw geograficznych, łowieckich i leśnych. Od przeszło 30-tu lat zbieram i archiwizuję swoje zbiory, a ostatnio zauważyłem bardzo pozytywne zjawisko. Otóż coraz częściej koła wręcz prześcigają się wydając okolicznościowe pamiątki związane z kołami. Są to głównie oznaki i medale, ale również różnego rodzaju plakietki, statuetki z metalu, drewna, szkła, krawatniki, naszywki, medale „król polowania" i inne. Wydawanie ich wiąże się głównie z jubileuszami. Coraz więcej kół decydują się na napisanie wspomnień w postaci monografii.

Bogdan Kowalcze
Kolekcjoner falerystyki łowieckiej. Prezes Galicyjskiego Oddziału Klubu Kolekcjonera i Kultury Łowieckiej PZŁ. Członek komisji kultury NRŁ.

OD REDAKCJI

Redakcja z wielką satysfakcją przyjęła informację od Zarządu Koła TROP w Krakowie o kontynuowani akcji charytatywnej na rzecz małych pacjentów Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie. Dzięki inicjatywie kol. Grzegorza Skokonia i Zarządu Koła, Fabryka Kart TREFL kolejny raz przygotowała upominki dla małych pacjentów. Akcja rozpoczęta w 2016 roku oraz wiele innych o których informowaliśmy we wcześniejszych numerach „Myśliwca" doskonale wpisują się w nasze działania na rzecz zmiany wizerunku polskiego myśliwego.

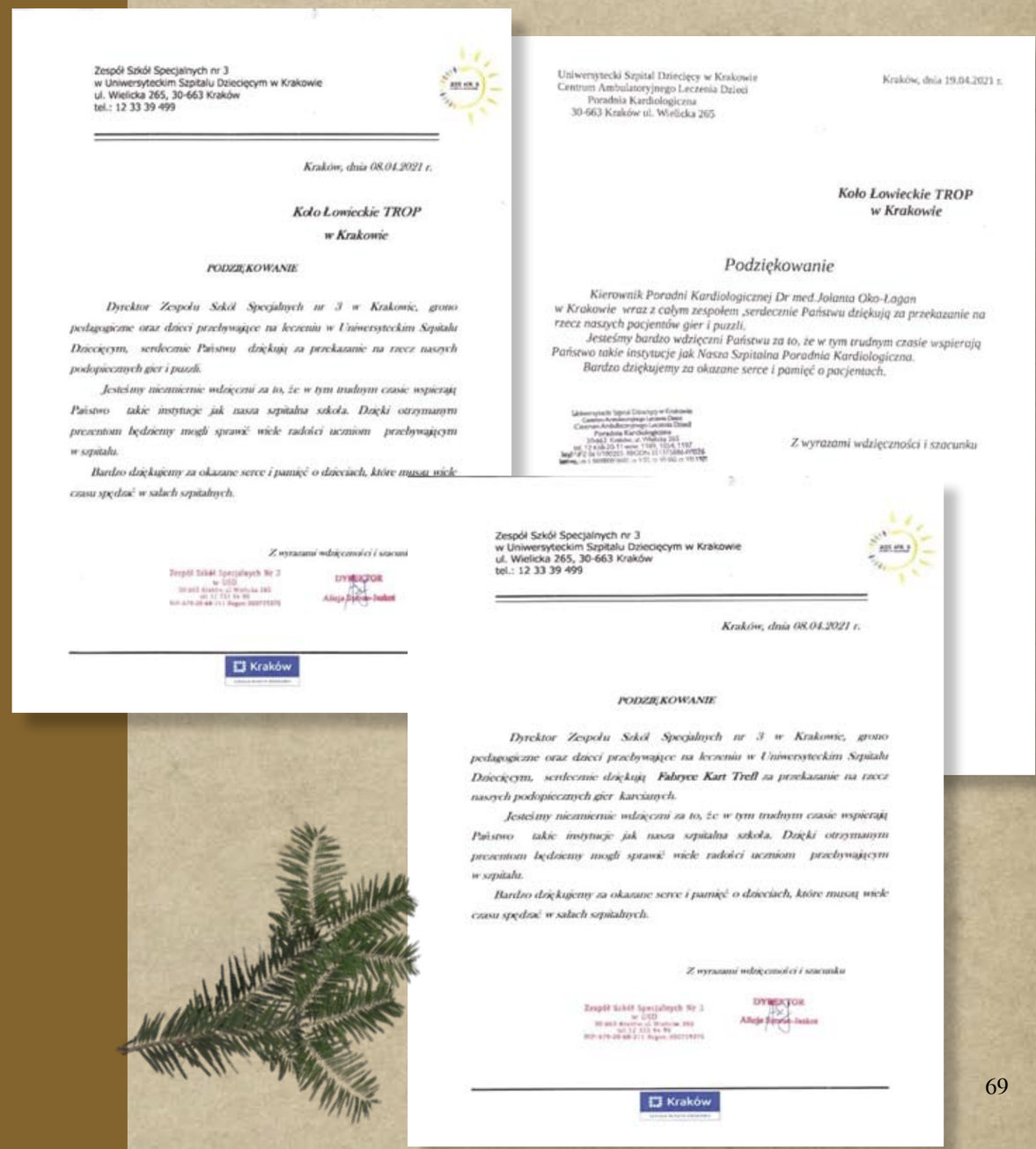

Zespół Szkół Specjalnych nr 3
w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie
ul. Wielicka 265, 30-663 Kraków
tel.: 12 33 39 499

Kraków, dnia 08.04.2021 r.

Koło Łowieckie TROP
w Krakowie

PODZIĘKOWANIE

Dyrektor Zespołu Szkół Specjalnych nr 3 w Krakowie, grono pedagogiczne oraz dzieci przebywające na leczeniu w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym, serdecznie Państwu dziękują za przekazanie na rzecz naszych podopiecznych gier i puzzli.

Jesteśmy niezmiernie wdzięczni Państwu za to, że w tym trudnym czasie wspierają Państwo takie instytucje jak nasza szpitalna szkoła. Dzięki otrzymanym prezentom będziemy mogli sprawić wiele radości uczniom przebywającym w szpitalu.

Bardzo dziękujemy za okazane serce i pamięć o dzieciach, które muszą wiele czasu spędzać w salach szpitalnych.

Z wyrazami wdzięczności i szacunku

Zespół Szkół Specjalnych Nr 3
w USD

DYREKTOR
Alicja Śpiewak-Jankot

Kraków

Uniwersytecki Szpital Dziecięcy w Krakowie
Centrum Ambulatoryjnego Leczenia Dzieci
Poradnia Kardiologiczna
30-663 Kraków ul. Wielicka 265

Kraków, dnia 19.04.2021 r.

Koło Łowieckie TROP
w Krakowie

Podziękowanie

Kierownik Poradni Kardiologicznej Dr med.Jolanta Oko-Łagan w Krakowie wraz z całym zespołem ,serdecznie Państwu dziękują za przekazanie na rzecz naszych pacjentów gier i puzzli.

Jesteśmy bardzo wdzięczni Państwu za to, że w tym trudnym czasie wspierają Państwo takie instytucje jak Nasza Szpitalna Poradnia Kardiologiczna.

Bardzo dziękujemy za okazane serce i pamięć o pacjentach.

Z wyrazami wdzięczności i szacunku

Zespół Szkół Specjalnych nr 3
w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie
ul. Wielicka 265, 30-663 Kraków
tel.: 12 33 39 499

Kraków, dnia 08.04.2021 r.

PODZIĘKOWANIE

Dyrektor Zespołu Szkół Specjalnych nr 3 w Krakowie, grono pedagogiczne oraz dzieci przebywające na leczeniu w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym, serdecznie dziękują ***Fabryce Kart Trefl*** *za przekazanie na rzecz naszych podopiecznych gier karcianych.*

Jesteśmy niezmiernie wdzięczni za to, że w tym trudnym czasie wspierają Państwo takie instytucje jak nasza szpitalna szkoła. Dzięki otrzymanym prezentom będziemy mogli sprawić wiele radości uczniom przebywającym w szpitalu.

Bardzo dziękujemy za okazane serce i pamięć o dzieciach, które muszą wiele czasu spędzać w salach szpitalnych.

Z wyrazami wdzięczności i szacunku

Zespół Szkół Specjalnych Nr 3
w USD

DYREKTOR
Alicja Śpiewak-Jankot

Kraków

Mięso bobra
jako potencjalne źródło pasożytów niebezpiecznych dla człowieka

Jerzy Kowal

fot.Jerzy Kowal

Populacja bobra europejskiego *Castor fiber* jest przykładem w pełni udanej restytucji gatunku chronionego w Polsce. Jednocześnie wzrost liczebności bobrów prowadzi do zwiększenia szkód powodowanych przez tego gryzonia. Od kilku lat trwają rozmowy o odstrzale tego gatunku, przy czym w 2019 roku pojawił się pomysł włączenia go do listy zwierząt łownych „z możliwością wykorzystania mięsa do celów kulinarnych". Obecnie Ministerstwo Rolnictwa nie planuje żadnych regulacji w tym zakresie, jednak bobry są regularnie pozyskiwane, w oparciu o corocznie wydawane zarządzenia Regionalnych Dyrekcji Ochrony Środowiska, co ma na celu ograniczenie szkód.

Co prawda powiedzenie mówi „dobra, dobra zupa z bobra…", jednak konsumpcja mięsa pozyskiwanych bobrów może być w praktyce niebezpieczna, z uwagi na występowanie kilku gatunków pasożytów niebezpiecznych dla ludzi.

U bobrów występują pasożytnicze pierwotniaki, tj. *Cryptosporiudium parvum* i *Giardia duodenalis*. Są to gatunki stwierdzane w Polsce, dla których bóbr może jako żywiciel stanowić swoisty rezerwuar i źródło zanieczyszczenia wód, w których przebywa. Są to pasożyty układu pokarmowego, tak więc ich formy inwazyjne (tzw. cysty) nie znajdują się w mięśniach. Istnieje jednak realne prawdopodobieństwo, że cysty znajdujące się m.in. na sierści bobra zostaną przeniesione na tuszę w trakcie patroszenia i skórowania. Spożycie zanieczyszczonego mięsa może być potem przyczyną występowania u ludzi kryptosporiodiozy i giardiozy, które objawiają się przede wszystkim biegunką. Mogą również występować inne objawy: bóle głowy i mięśni, osłabienie, utrata apetytu, nudności i wymioty. Choroby te najsilniej manifestują się u dzieci oraz osób z obniżoną odpornością i nieleczone mogą w znacznym stopniu zagrażać zdrowiu. W przypadku *Giardia duodenalis*, tylko niektóre szczepy są chorobotwórcze dla człowieka, jednak nie można wykluczyć ich występowania u bobrów.

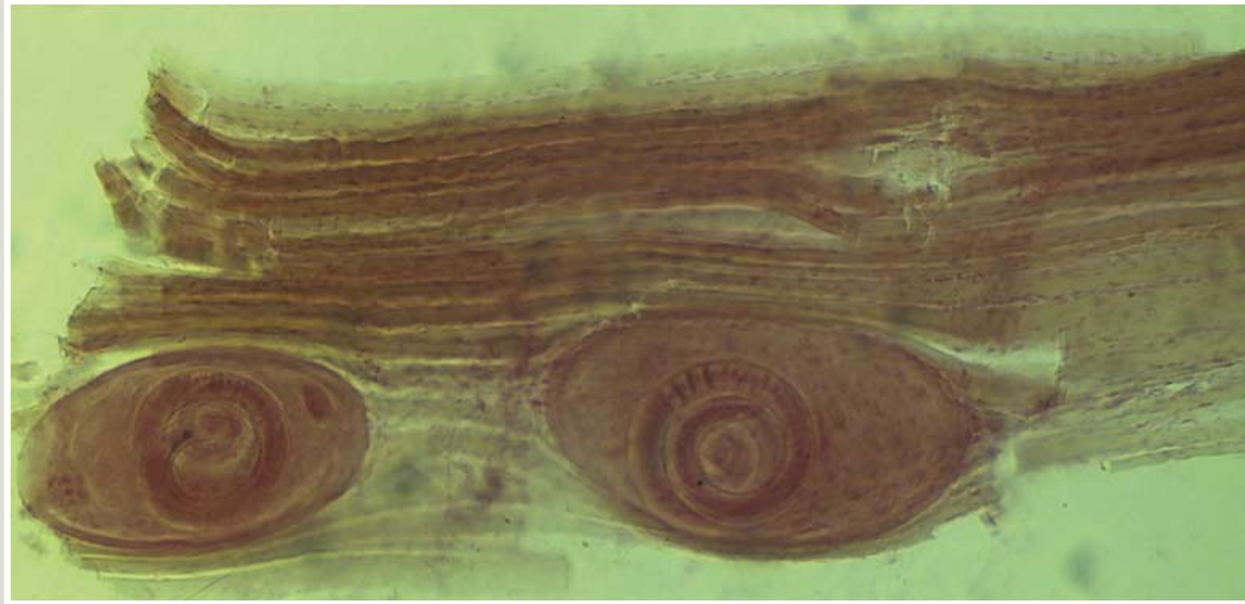

Kolejnym groźnym dla człowieka pasożytem stwierdzonym u bobra, jest włosień kręty *Trichinella spiralis*. Podobnie jak w przypadku dzika nicień ten umiejscawia się w mięśniach. W Polsce, jak dotąd stwierdzono włośnie tylko u jednego z 69 badanych bobrów, jednak fakt ten wskazuje na potencjalną możliwość zarażenia człowiek po spożyciu ich mięsa. Nie zanany jest sposób, w jaki włośnicą zarażają się bobry – zwierzęta typowo roślinożerne. Do zarażenia zwierząt dochodzi w czasie spożycia mięsa, tak więc jako potencjalną przyczynę zarażenia rozpatruje się zjadanie przez bobry padliny, jako uzupełnienie niedoborów białka w diecie lub walki z drapieżnikami, które bardzo często są zarażone włośnicą.

Pozostałe pasożyty zoonotyczne występujące u bobra, wśród których można wymienić motylicę wątrobową i tasiemce z rodzaju *Echinococcus* (tzw. bąblowce), nie stanowią raczej zagrożenia w przypadku spożycia mięsa tego gryzonia.

Podsumowując, mięso bobrów, które miało by być przeznaczone do konsumpcji powinno być badane przez lekarzy weterynarii (rodzi to potrzebę stworzenia badań urzędowych) w celu wyeliminowania z obrotu tusz stanowiących niebezpieczeństwo. W przypadku braku takich badań, wszelkie wyroby z półsurowego mięsa bobra (np. wędliny) mogły by być źródłem zoonoz. W takim przypadku, tylko całkowicie przetworzone termicznie mięso (temperatura 70°C działająca przez kilka minut zabija formy rozwojowe pasożytów), mogło by być bezpiecznie spożywane.

Jerzy Kowal, dr inż., z wkształcenia zootechnik, pracownik naukowo-dydaktyczny w Katedrze Zoologii i Dobrostanu Wydziału Hodowli i Biologii Zwierząt Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, kandydat do PZŁ.

Mariusz Ligęza

Kapuśniak na wędzonym boczku z dzika i karczku z daniela

Składniki:

-0,5 kg wędzonego boczku z dzika
-1 kg karczku z daniela z kością
-1,5 główki białej kapusty średniej wielkości
-3 marchewki
-1 pietruszka
-1/2 małego selera
-2 cebule białe
-1 cebula czerwona
-3 ząbki czosnku
-1,2 kg ziemniaków
-1/2 słoiczka przecieru pomidorowego
-natka zielonej pietruszki lub koperek

Przyprawy:

-ziele angielskie, liść laurowy, pieprz, sól, kminek

Do zrobienia kapuśniaku w innej wersji niż tradycyjna zainspirował mnie film „Kapuśniaczek" (1981r.) z Luisem De Funesem. Główny bohater sieka kapustę niezdarnie na grube kawałki tzw. od siekiery. La Soupe aux choux w wydaniu myśliwskim, możecie wierzyć - rewelacja.

Przygotowanie:

1. Karczek opłukać, przerąbać na 2 lub 3 części, włożyć do dużego garnka, zalać zimną wodą i zagotować. W trakcie zbieramy łyżką „szumowiny". Gotować ok. 1 godziny.

2. Grubo krojone warzywa wraz z kapustą (zdj.) opłukać i dodać do wywaru z przyprawami.

3. Boczek kroimy w plastry, a następnie w kostkę i podsmażamy z dodatkiem oleju rzepakowego na patelni. Zarumieniony przekładamy do garnka z zupą. Gotować ok 40 minut.

4. Po upływie 40 minut wyjmujemy pietruszkę i seler. To samo robimy z marchewką, którą studzimy, kroimy w kostkę i wkładamy z powrotem do zupy.

5. Obrane ziemniaki kroimy w dużą kostkę i dodajemy do zupy.

6. Pod koniec gotowania w zupie rozcieńczamy przecier pomidorowy.

7. Przygotujemy zasmażkę z mąki pszennej na klarowanym maśle, którą zagęszczamy potrawę (jeśli ktoś nie lubi nie jest to konieczne)

8. Po ugotowaniu podajemy na talerzu z dodatkiem siekanej natki pietruszki lub koperku.
fot. archiwum autora

Mariusz Ligęza
leśnik, myśliwy, kolekcjoner, znawca dobrej kuchni

Smacznego!

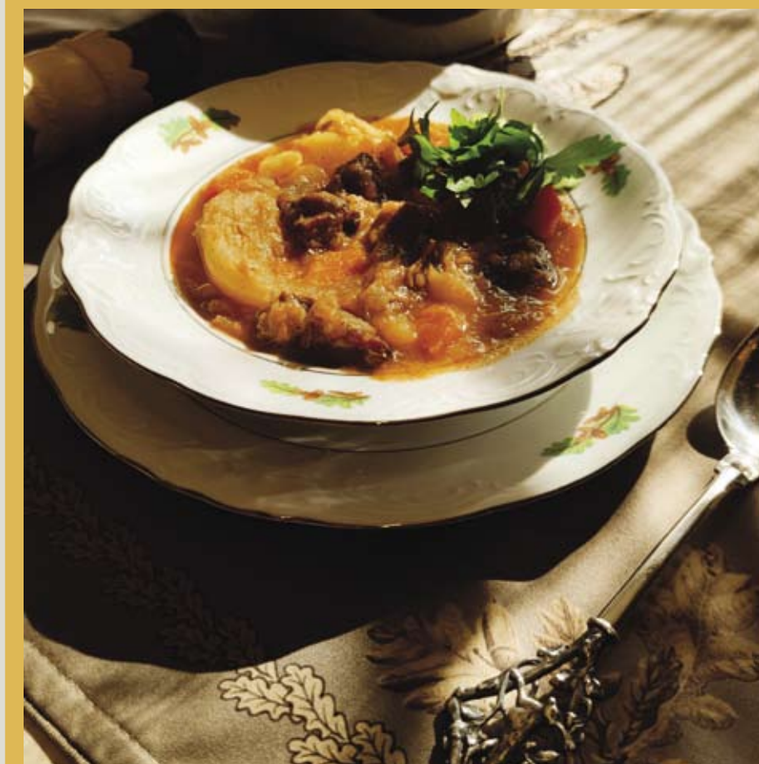

Spis treści:

Sezon ogórkowy
Roman Barbasz 3
Jak przechytrzyć bobra?
Marek Wajdzik 4
Zapomniane polowanie i nietypowa bielizna
Andrzej Tomek 10
Polowanie na ptaki metodą wabienia cz.II
Sławomir Pawlikowski 14
Sekret Francuzów i moje niebieskie spaniele
Przemysław Hendel 18
Jubileusz Muzeum Przyrodniczego im. Dzieduszyckich we Lwowie
Waldemar Smolski 20
Landszaft strzałem w dziesiątke
Magdalena Langer 26
O pięknej i mądrej kobiecie, której pasją było polowanie i wędkarstwo:Marii z Fredrów Szembekowej
Waldemar Smolski 32
Kilka słów o ekslibrisie – jego historii, właścicielach i twórcach oraz kolekcjonerach
Ryszard Marian Wagner 38
Na tropie europejskiej antylopy czyli słów kilka o sarnie polnej
Marek Wajdzik 42
O ptactwie wodnym inaczej
Henryk Okarma 46
Lato
Rafał Łapiński 49
Jubileusz madalu „Za Zasługi Dla Łowiectwa Krakowskiego"
Waldemar Smolski 54
Krakowski konkurs fotograficzny 56
Szymańscy
Hubert Zwinczak 58
Cwaniak
Zygmunt Jordan 64
Falery krakowskich kół łowieckich w moich zbiorach
Bogdan Kowalcze 68
Od redakcji 69
Mięso bobra jako potencjalne źródło pasożytów niebezpiecznych dla człowieka
Jerzy Kowal 70
A gdy bór obdarzy… czas na kuchnię
Mariusz Ligęza 72

Zdjęcia na okładce:
Rafał Łapiński str. 1,2, 4
Włodzimierz Puchalski str. 3

WYDAWCA
Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego w Krakowie
ul. Żywiecka 12
30 - 427 Kraków
tel 12 634 25 34
e-mail: zo.krakow@pzlow.pl

REDAKTOR NACZELNY
Roman Barbasz

REDAKCJA
Bogdan Kowalcze
Henryk Okarma
Wojciech Plewiński
Waldemar Smolski
Andrzej Tomek
Marek Wajdzik
Redaktor Graficzny
Hubert Zwinczak

stale współpracują:
Andrzej Łada i Rafał Łapiński

SKŁAD I ŁAMANIE
Hubert Zwinczak

DRUK
Drukarnia Standruk

Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść publikowanych materiałów i reklam, zastrzega sobie prawo nieodpłatnego publikowania nadesłanych artykułów oraz zdjęć, wraz z prawem do skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.